

Zdzisław M. RURARZ

Polska
W GROŹNYM
ŚWIECIE

Wydawnictwo Wici
Chicago, 1999

8, 29, 37, 38, 41, 45, 54, 60, 77, 80, 83, 169, (174), 214, 203, 215
176, 177, 181

224, 226,
227.

Kennedy Critique - 66

UW - 214,

Polska W GROŹNYM ŚWIECIE

Zdzisław M. RURARZ

© Copyright by Zdzisław M. Rurarz

Polska
W GROŹNYM
ŚWIECIE

Druk:

PANORAMA
3104 N. Cicero Ave.
Chicago, IL 60641
(773) 685 - 0406

Wydawnictwo Wici
Chicago, 1999

Od autora

Słowa te piszę w 60-tą rocznicę napaści Niemiec na Polskę. Do dziś tkwi żywo w mojej pamięci poranna ewakuacja z rodzimych Pionek do pobliskiej wsi Sucha. Od tego momentu rozpoczęła się moja tułaczka bez widomego końca.

Winą za nią obarczam II wojnę światową, po raz wtóry w mijającym XX wieku wywołaną przez wielkie mocarstwa.

I żeby na tym był koniec.

Niestety, końca wojnom nie widać. Wszelkie zaś nadzieje na to, że człowiek się przed nimi jakoś uchroni - są bez pokrycia w twardych realiach światowych. Dopóki bowiem istnieć będą wielkie mocarstwa - będą wybuchać wielkie wojny.

Nie zgadzam się z Bronisławem Geremkiem, ministrem spraw zagranicznych III RP-PRL (bis), że "wejście do NATO - jak to mówił w czasie debaty sejmowej w listopadzie 1998 r. - to dla Polski, po zawieruchach historii, wpłynięcie do bezpiecznego portu...".

Obawiam się, że zamiast zawinięcia do bezpiecznego portu, Polska, z niezbadanych wyroków wielkich mocarstw, wypływa na wzburzone wody, które mogą ją pochłoniąć. A dlaczego tak myślę - odpowiedź daje książka.

Rozdział I:

Dzieje ludzkości wojnami znaczone

Polska, na równi ze wszystkimi innymi krajami świata, egzystuje w *groźnym* świecie. Groźnym dlatego, że od niepamiętnych czasów świat gnębiony jest wojnami. Historia ludzkości - jak twierdzą niektórzy - to nic innego jak historia wojen. Zawsze bowiem coś działo się przed jakąś wojną, w trakcie jej trwania, albo po jej zakończeniu, przed następną wojną.

W przypadku Polski jest to szczególnie prawdziwe. Tylko w mijającym stuleciu wojny decydowały o jej losie bardziej niż cokolwiek innego. W rezultacie I wojny światowej Polska odzyskała utraconą niepodległość, tracąc ją jednakże już w czasie następnej, II wojny światowej. Po jej zakończeniu zaś, w związku z wybuchem kolejnej wojny światowej, tym razem "zimnej", która mogła być preludem do "gorącej" III wojny światowej, Polska nie odzyskała już pełnej niepodległości i suwerenności

Obecnie natomiast, po formalnym zakończeniu się "zimnej wojny", czy odzyskała je naprawdę - za wcześnie na odpowiedź.

Wojny wywierają więc wpływ na bieg dziejów, a ponieważ w ostatnich 8-10 tysiącach lat było ich 10-15 tysięcy, to tym bardziej jest to prawdą. Skoro bowiem ludzkość wojowała w tym okresie co najmniej raz do roku, a ostatnio nawet znacznie częściej, to trudno sobie wyobrazić, żeby wojny nie miały wpływu na jej losy.

Stąd też jest paradoksem, że ludzkość, mając tak bogate doświadczenie z wojnami, nie bardzo wie *czym* one są naprawdę.

O wojnie jedni mówią bowiem, że jest "*bramą do piekieł*" i "*aktem kryminalnym*", ale drudzy, jak to mówili Polacy przed I wojną światową, że jest *zbawieniem* dla uciskanych.

Przy tak skrajnych poglądach na wojnę, nie dziwi, że do dnia dzisiejszego ludzkość **nie dopracowała się** jej definicji.

Hasło "**WOJNA**" w 6-m tomie Nowej Encyklopedii Powszechnej PWN, wydanej w Warszawie w 1997 r., brzmi jak następuje:

"(wojna) zjawisko społeczno-polityczne, stanowiące integralną część dziejów ludzkości od początków organizacji społeczeństwa, o zasięgu rosnącym wraz z rozwojem technologii; od zbudowania broni jądrowej (1945 r.) i środków jej przenoszenia zagraża całkowitą zagładą człowieka i życia na Ziemi. Pojęciu "wojna" nadawano różne znaczenia, we współczesnym języku polskim najczęściej jest określana jako *zorganizowana walka zbrojna* między państwami, narodami lub grupami społecznymi. **Wojna w prawie międzynarodowym.** Współczesne prawo międzynarodowe odeszło od prób stworzenia definicji "wojny", co wynika z niemożności ujęcia w jednej definicji różnorodnych sytuacji, zachowań, postaw i działań, składających się na to zjawisko...".

Tak więc, ludzkość, wojująca od tysięcy lat, angażuje się w działania, których pełnego sensu nawet nie rozumie!

I dzieje się to w sytuacji, kiedy za luksus swojej niewiedzy płaci milionami ofiar i olbrzymimi stratami materialnymi.

1. Krwawe żniwo wojen.

Wojnę, jak każde inne zjawisko społeczno-polityczne, dla lepszego zrozumienia jej istoty, należy "wymierzyć" od strony jej skutków w ofiarach ludzkich.

Tylko w ostatnich dwóch tysiącleciach, nie sięgając dalej w przeszłość, ilość śmiertelnych ofiar wojen wyniosła:

- w latach 1-1500 - ok. 3,7 mln.
- w latach 1501-2000 - ok. 185,0 mln.

Mimo tego upustu krwi, ilość mieszkańców globu ziemskiego wzrosła w latach 1-1500 z ok. 170 milionów do ok. 425 milionów, czyli 2,5-krotnie, podczas gdy w latach 1501-2000 z ok. 426 mln. do 6-ciu miliardów, a więc 14-krotnie.

Czyżby więc wojny nie miały hamującego wpływu na przyrost ilości mieszkańców globu ziemskiego?

Podchodząc do wzajemnego związku pomiędzy obu zjawiskami od strony arytmetycznej - tak na to wygląda.

Z drugiej strony faktem jest, że wojny stają się coraz krwawsze.

Tak na przykład, w ostatnim 500-leciu ilość ofiar wojennych zaczęła gwałtownie wzrastać. W XVI wieku wojny pochłonęły 1,6 mln. ludzkich istnień, z wojną chłopską w Niemczech oraz holenderską o niezawisłość, dzier-

żącymi prym pod tym względem (z każdą po ok. 175 tys. ofiar na swoim koncie).

W XVII wieku ilość śmiertelnych ofiar wojen wzrosła już do 6-ciu milionów, głównie wskutek 4-milionowego krwawego żniwa Wojny Trzydziestoletniej, na ziemiach niemieckich przede wszystkim (dużą ilość ofiar miała także I Rzeczpospolita, rezultat buntu Chmielnickiego oraz "Potopu").

W XVIII wieku, do wybuchu Rewolucji Francuskiej, ilość ofiar wojennych znów wzrosła, osiągając 7 milionów, z wojnami Sukcesyjną i Siedmioletnią w Europie, wojnami w Indiach oraz wojną o amerykańską niepodległość, wiodącymi prym w sianiu śmierci (tylko te dwie pierwsze pochłonęły ok. 5,2 mln. ofiar).

Uwzględniając Rewolucję Francuską z końca XVIII wieku, ilość ofiar wojen w XIX wieku wzrosła już prawie 3-krotnie, dochodząc do ok. 19,5 mln. Tylko wojny rewolucyjnej Francji oraz napoleońskie pochłonęły ok. 5 milionów ofiar, podczas gdy wojna krymska 770 tys., amerykańska wojna domowa ponad 640 tys., prusko-francuska 250 tys. oraz amerykańsko-hiszpańska ok. 200 tysięcy.

I wreszcie, wiek XX "obrodził" wojnami jak żaden inny dotąd.

Zaczął się względnie "skromnie", od jednej tylko wojny, bursko-angielskiej z lat 1899-1902, z bliżej nieznaną ilością jej ofiar (po stronie angielskiej było 6 tys. zabitych, podczas gdy po stronie burskiej, w samych tylko *obozach koncentracyjnych*, zakładanych przez Anglików, ilość ofiar wyniosła co najmniej 20 tys.).

Wkrótce potem doszło już do większej wojny, rosyjsko-japońskiej z lat 1904-1905, która pochłonęła ok. 170 tys. ofiar.

Po tych wojnach następne sypały się jak z przysłowiowego rogu obfitości, z dwoma światowymi wojnami łącznie oraz jedną "zimną wojną" światową.

Wiek XX, tak jak zaczął od wojen, tak i nimi kończy się:

- w marcu-czerwcu 1999 r. trwała nie wypowiedziana przez NATO wojna z Jugosławią, która pochłonęła bliżej nieznaną ilość ofiar, zapewne tysiące, na których nie koniec, gdyż mordowanie Serbów przez Albańczyków w Kosowo trwa, mimo obecności tam wojsk NATO oraz rosyjskich;

- latem 1999 r. doszło do zbrojnych potyczek hindusko-pakistańskich w Kaszmirze, z kilkuset ofiarami (potyczki mogą być wznowione w każdej chwili);

- bez przerwy trwają potyczki izraelsko-arabskie w Libanie, połączone z okresowymi jego bombardowaniami przez lotnictwo oraz artylerię izraelską, co pociąga za sobą liczne ofiary;

- od miesięcy lotnictwo amerykańskie, a także częściowo angielskie, bombarduje niektóre obiekty w Iraku, powodując liczne ofiary (aczkolwiek ilość ich trudno obiektywnie ustalić);

- z różnym natężeniem, od 1998 r., trwa wojna etiopsko-erytrejska, która pochłonęła już kilkadziesiąt tysięcy ofiar.

Wojnami, o wiele krwawszymi od tych powyższych, międzynarodowych, są także wojny domowe:

- od 1983 r. trwa nieprzerwanie wojna domowa w Sudanie, która pochłonęła już ok. 1,5 mln. ofiar;

- od 1978 r., z różnym nasileniem i różnymi stronami przeciwnymi, trwa wojna w Afganistanie, z bliżej nieznaną ilością ofiar (w latach 1979-1988, w czasie interwencji sowieckiej, ilość ofiar szacowano na 1-2 mln.);

- od 1963 r. trwają walki pomiędzy partyzantką marksistowską a wojskami rządowymi w Kolumbii, z ok. 40 tysiącami ofiar;

- od 1992 r. trwają rządowo-islamskie walki w Algierii, od początku lat 1990-tych, 75-250 tysiącami ofiar;

- od 1975 r. trwa wojna w Angoli, z 500 tysiącami ofiar;

- od 1983 r. trwa wojna w Sri Lance, z 57 tysiącami ofiar;

- od 1992 r. trwa wojna w Sierra Leone, z 14 tysiącami ofiar;

- od 1993 r. trwa wojna w Burundi, z 150-250 tysiącami ofiar;

- od 1993 r. trwa wojna w Ruandzie, z 500-800 tysiącami ofiar;

- od 1987 r., z różnym nasileniem trwa wojna z Kurdami w Turcji, z 37 tysiącami ofiar.

Nie ma też pewności, czy nie będzie wznowiona, trwająca od 1968 r. wojna katolicko-protestancka w Północnej Irlandii, którą, po ponad 3,2 tysiącach, ofiar udało się zawiesić w 1998 r., nie wiadomo na jak długo, jak też wojna czeczeńsko-rosyjska z lat 1994-1996, która pochłonęła 18-100 tys. ofiar (po starciach rosyjsko-czeczeńskich w Dagestanie w sierpniu-wrześniu 1999 r. jest to bardzo możliwe).

O ile XX wiek zaczął się względnie skromnie na "niwie wojennej", to kończy się z rozmachem, a kto wie czy przed 1 stycznia 2000 r. rozmach ten nie będzie jeszcze większy.

Najbardziej liczącymi się wojnami XX wieku, rzecz jasna, były dwie wojny światowe, zjawisko **nieznane** dawniej. Im też głównie należy przypisać ilość ok. 150 mln. ofiar, które ma na swoim koncie dobiegający końca "krwawy wiek".

W I wojnie światowej udział wzięły 33 kraje, posyłając na pola bitew ok. 70 milionów ludzi, z których co najmniej 8 milionów poniosło śmierć, a ponad 20 milionów odniosło rany. Niezależnie od personelu wojskowego, zginęło również 7-8 milionów cywilów.

W II wojnie światowej wzięło udział już 61 krajów, ze 110 milionami ludzi pod bronią, z czego ok. 15 milionów poległo i ponad 25 milionów odniosło rany.

"Nowością" w tej wojnie, nie tak jak w pierwszej, była ilość śmiertelnych ofiar wśród ludności cywilnej, która wyniosła ok. 39 milionów, tym samym znacznie **przewyższając** straty personelu wojskowego.

Fakt ten wymaga komentarza.

Otóż, niezależnie od działań wojennych, sięgających daleko poza linię frontu, głównie wskutek działań lotnictwa strategicznego, czy częściowo niemieckich rakiet skrzydlatych V-1 oraz balistycznych V-2, atakujących gęsto zaludnione aglomeracje miejskie, co najmniej połowa ofiar cywilnych była wynikiem systematycznych **mordów** na tle rasowym i klasowym.

Osobny problem to koszty obu wojen światowych, zarówno koszty bieżące ich prowadzenia, jak też ponoszone w ich wyniku straty materialne.

Odnosnie I wojny światowej, to koszty jej, licząc według dzisiejszych cen, szacuje się na **ok. 4 biliony dolarów**, podczas gdy II wojny światowej na **ok. 20-25 bilionów dolarów** (produkcja USA wynosi ok. 8,5 bln. dol., podczas gdy światowa 32-35 bln. dol.)

Tylko koszty I wojny światowej były **wyższe** od kosztów wszystkich poprzednich wojen w dziejach ludzkości razem wziętych, nie mówiąc już o kosztach II wojny światowej.

Przykład obu wojen, zwłaszcza II wojny światowej, świadczy dobitnie o osiągnięciu przez nie *punktu krytycznego*, gdzie koszty ich w istnieniach ludzkich oraz stratach materialnych stały się **prohibicyjne** i tym samym *wykluczające* wojnę jako sposób rozwiązywania sprzeczności zewnętrznych i wewnętrznych między ludźmi.

Tym bardziej, że w sytuacji istnienia broni masowej zagłady, której dawniej nie było, nowa wojna światowa, nie tak jak poprzednie, grozi położeniem **kresu** istnieniu człowieka, a może nawet życia na ziemi.

Nie w wojnach więc należy poszukiwać rozwiązań piętrzących się przed ludzkością wyzwań, a w **pokojujowej** współpracy narodów.

Polacy, których los na przestrzeni ostatnich pokoleń był szczególnie uzależniony od "gorących" i "zimnych" wojen światowych, powinni bardziej od innych narodów wypatrywać nadszycia nowych. Więcej też od innych powinni uczyć się na lekcjach minionych wojen. Historia nie zawsze się powta-

rza, ale powtarza się - jak to twierdzi amerykański filozof George Santayana - kiedy jej się nie zna.

Czego uczą dwie "gorące" wojny światowe?

2. Wielkomocarstwowe sojusze.

Najważniejszą z "gorąc wojennych lekcji", gdyż są jeszcze "zimnowojenne", którym poświęcony jest kolejny rozdział książki, jest niewątpliwie fakt, że ani przed jak i w czasie I wojny światowej, kiedy nie było polskiej państwowości, ani przed II wojną światową, kiedy już państwowość polska istniała, czy w trakcie trwania wojny, kiedy została ona zredukowana do emigracyjno-podziemnej, z polskimi interesami narodowymi **nikt** się nie liczył. Co najwyżej, były wypadkową interesów wielkich mocarstw.

Niemożność ustanowienia przez Polaków prawdziwie *partnerskich* stosunków z którymkolwiek z wielkich mocarstw, zwłaszcza mających decydujący głos w polskich sprawach, praktycznie zawsze **uniemożliwiała** Polakom prowadzenie o tyle aktywnej co skutecznej polityki zagranicznej z pożytkiem dla ich interesów narodowych i państwowych.

Z tego też powodu, Polacy, bardziej niż inne narody, muszą *uważnie* obserwować zachowanie się wielkich mocarstw, które **decydują** o losach świata, a tym samym Polski.

Obserwacja *nie może* pominąć zawieranych przez wielkie mocarstwa sojuszków, preludeum do wojen.

Dziś, kiedy Polska jest członkiem NATO, wielostronnego sojuszu polityczno-wojskowego, rekomendowanie obserwacji wielkomocarstwowych więzów sojuszniczych, wydaje się nieporozumieniem.

W rzeczywistości jednak tak nie jest, gdyż NATO jest głównie **wielkomocarstwowym** sojuszem, niezależnie od skupiania w swoich szeregach krajów średnich oraz małych czy takich jak Islandia, która nie ma sił zbrojnych. Wielkomocarstwowy charakter NATO ujawnił się szczególnie w czasie wojny przeciwko Jugosławii wiosną 1999 r., pierwszej wojny w jego 50-letniej historii. Akcje bojowe NATO bowiem były w 85 procentach amerykańskie (rakietowe w 100 procentach). Pozostałe zaś niemal w całości były udziałem Francji, Anglii, Włoch oraz Niemiec, innych wielkich mocarstw. Między wielkimi mocarstwami *wyłącznie* trwały też różnego rodzaju konsultacje, do których mniejszych państw członkowskich nie zapraszano.

Lekcji historycznych na temat działania sojuszków, a tak naprawdę liczą się tylko *wielkomocarstwowe*, jest zresztą wiele i dla Polaków nie są one, albo nie powinny być, nieznanne.

Józef Piłsudski, jeśli wierzyć niektórym relacjom, trafnie przewidział wybuch, przebieg i koniec I wojny światowej.

Zgadywał czy może miał jakieś rzeczowe podstawy swojej wizji? Piłsudski - można przypuszczać - człowiek myślący realnymi kategoriami i uważny obserwator wydarzeń międzynarodowych, musiał *coś* w nich dostrzec, co doprowadziło go do wspomnianej konkluzji.

Tym *czymś* było - można się domyślać - dostrzeżenie przez Piłsudskiego tworzenia się w Europie końca XIX i początku XX wieku **przeciwstawnych** sobie sojuszków polityczno-wojskowych, które zaczęły dzielić zaborców Polski, a w dalszej perspektywie przygotowywać grunt dla przyszłego konfliktu zbrojnego pomiędzy nimi.

Proces budowy sojuszków był długi i na ogół bez tajnych porozumień oraz klauzul, co ułatwiało śledzenie jego postępu, odmiennie niż to było przed II wojną światową, kiedy proces ten był krótki, a w przypadku paktu Ribbentrop-Mołotow błyskawicznie przeprowadzony, w dodatku utajniony w jego najważniejszej części.

A. Wielkomocarstwowe sojusze przed I wojną światową.

Pomijając wcześniejsze wydarzenia, takie jak wojnę krymską, prusko-francuską czy rosyjsko-turecką, które stworzyły w Europie nową sytuację, proces tworzenia się wielkomocarstwowych sojuszków wziął swój początek od powstałego w 1882 r. Trójprzymierza, sojuszu polityczno-wojskowego Niemiec, Austro-Węgier i Włoch.

Trójprzymierze, choć nie natychmiast, znalazło swoich naśladowców. Francja i Rosja bowiem, zaniepokojone jego narodzinami, odpowiedziały w 1893 r. zawarciem dwustronnego sojuszu. Po nim, w 1904 r., przyszła kolej na francusko-angielskie "serdeczne porozumienie", Entente Cordiale, rozgraniczające wzajemne strefy wpływów w świecie, które otworzyło drogę do wzajemnego sojuszu w 1911 r., kiedy to oba państwa podpisały porozumienie wojskowe, uściślone rok później dodatkowymi klauzulami. Wreszcie, w 1907 r., po zawarciu angielsko-rosyjskiego układu polityczno-wojskowego, narodziło się Trójporozumienie, podstawa późniejszej Ententy.

Powstanie dwóch przeciwstawnych sobie sojuszków - czego Piłsudski nie mógł nie zauważyć - przyczyniło się do narastania "atmosfery wojennej", a stąd był już tylko krok do wojny pomiędzy obu blokami.

Po wybuchu wojny, istniejący na jej progu obraz sytuacji uległ, co prawda, pewnym zmianom, ale nie miało to większego znaczenia dla urzeczywist-

nienia się wizji Piłsudskiego (chodzi tutaj o Włochy, które wymówioną Serbii wojnę przez Austro-Węgry uznały za akt sprzeczny z literą Trójprzymierza. W rezultacie tego ogłosiły swoją neutralność i nie przystąpiły do tworzonej instytucji Państw Centralnych, obejmującej Niemcy, Austro-Węgry, Turcję i Bułgarię. W kwietniu 1915 r. Włochy porozumiały się poufnie z Ententą, 3 maja wystąpiły z Trójprzymierza, a 23 maja wypowiedziały wojnę Austro-Węgrom).

B. Wielkomocarstwowe sojusze przed II wojną światową

Proces zawierania sojuszków, jako oznaka poprzedzająca konflikt zbrojny, w swoich ogólnych zarysach powtórzył się przed II wojną światową, ale mimo wielu analogii - powtarzając to jeszcze raz - tym razem wystąpiło w nim wiele nowych elementów, utrudniających jego śledzenie. Polska, która w tym procesie odegrała nie małą rolę, nie tak jak przed I wojną światową, kiedy to ze względu na brak państwowości nie mogła być jego uczestnikiem, teraz dla odmiany była w nim tylko pionkiem, nie bardzo ponadto orientującym się w jego przebiegu.

Jak bardzo był to proces złożony i jak wąskie pole manewru miała Polska, nawet gdyby chciała być w nim czymś więcej niż pionkiem, świadczą o tym najważniejsze jego epizody.

Przede wszystkim, mimo że sojusze istniejące w czasie I wojny światowej nie zostały po jej zakończeniu odbudowane, Francja z Anglią pozostały nadal *nieformalnymi* sojusznikami i to pomimo usilnego poszukiwania przez tą ostatnią zbliżenia z Niemcami. Nadal też, gdyż żadnego formalnego sojuszu nie było nawet w czasie wojny, trwające w izolacjonizmie USA miały "specjalne stosunki" z Anglią oraz w znacznym stopniu z Francją, choć, podobnie jak Anglia, poszukiwały jednocześnie zbliżenia z Niemcami, dokąd Hitler nie doszedł tam do władzy.

Nowe sojusze, nie wchodząc w ich merytoryczną ocenę, zaczęły się natomiast budować wokół Francji.

Pierwszym był sojusz francusko-belgijski z 7 września 1920 r., wynik tzw. Konwencji Wojskowej pomiędzy obu krajami, który zresztą Belgia wycofała 14 października 1936 r., przechodząc na pełną neutralność.

Drugim był sojusz polsko-francuski z 19 lutego 1921 r., rezultat zawarcia Konwencji Wojskowej w czasie pobytu Józefa Piłsudskiego w Paryżu, jedynie w "kontekście niemieckim", ale nie sowieckim.

Trzecim był sojusz francusko-czechosłowacki z 25 stycznia 1924 r., o

dość niejasnym brzmieniu, przewidujący "pomoc wzajemną" w przypadku "nie spowodowanej agresji" przeciwko jednej ze stron (przedłużony 26 stycznia 1934 r. na następne 10 lat, jak okazało się to we wrześniu 1938 r. w Monachium, był to sojusz bez znaczenia).

Czwartym, z 10 czerwca 1926 r., był układ francusko-rumuński, o pewnych cechach sojuszu politycznego, ale nie wojskowego.

Piątym, podobnie jak w przypadku Rumunii, był francusko-jugosłowiański układ o przyjaźni z 11 listopada 1927 r.

W efekcie jednak, proces zawierania sojuszków w międzywojennej Europie był do 1935 r. o *marginiesowym* znaczeniu, nie wciągając w swoją orbitę sojuszków międzymocarstwowych. Stąd też ciekawe, kiedy proces ten raptem ożywił się, jak oceniałby go Piłsudski. Niestety, zmarł na progu serii zmian w tej dziedzinie, których, o ile wiadomo, nie przewidział. Słusznie natomiast przewidział, po objęciu władzy w wyniku zamachu majowego z 1926 r., że Polska ma przed sobą "5-letnie zacisze", które musi wykorzystać dla konsolidacji państwa w obliczu wyzwań wewnętrznych i zewnętrznych, nie precyzując jednak dokładnie *jak* konsolidacja taka miałaby nastąpić, zwłaszcza w polityce zagranicznej. Wyrazem dotychczasowej były pakt o nieagresji, z ZSRR z 25 lipca 1932 r. oraz z Niemcami z 26 stycznia 1934 r.

Polska polityka zagraniczna, zamykająca się do neutralności, ogólnie poprawna, w ówczesnych realiach europejskich była daleko niewystarczająca, głównie w odniesieniu do ZSRR i Niemiec, krajów z rewizjonistycznymi pretensjami pod jej adresem, nie uznających "porządku wersalskiego" w Europie.

"Porządek wersalski", na którym Polska, obok "porządku ryskiego", budowała swoją politykę zagraniczną, po układach z Locarno z 16 października 1925 r., przestał faktycznie istnieć. Niemcy w jego wyniku bowiem zostały wyprowadzone z powojennej izolacji, normalizując swoje stosunki z Francją, Anglią, Włochami i Belgią, ale nie z Polską, wchodząc również w roku następnym do Ligi Narodów. "Porządek ryski" natomiast, stosunki polsko-sowieckie, pozostał wielką niewiadomą.

Co gorsza, w tym czasie polityka mocarstw zachodnioeuropejskich zaczęła przybierać niezwykle niebezpieczny dla Polski kierunek, czego widocznym dowodem były próby zbudowania sojuszu, zwanego Paktem Czterech. Pomysłodawcą idei Paktu był Benito Mussolini, przywódca faszystowskich Włoch, który w ten sposób chciał podciąć Ligę Narodów (wystąpił z niej w 3 lata później). Formalnie, Mussolini wyszedł ze swoim pomysłem 7 czerwca 1933 r., przewidującym utworzenie wraz z Francją, Anglią oraz już hitlerowskimi Niemcami, instytucji do "nadzorowania pokoju" w Europie. "Nadzo-

rowanie" miało polegać, jak na początek, na zaspokojeniu rewizjonistycznych żądań Niemiec wobec Polski (Włochy otwarcie mówiły wówczas o oddaniu Niemcom polskiego Pomorza). Francja do idei Paktu Czterech zaczęła odnosić się przychylnie, stanowisko o tyle dziwne co niepokojące, jako że przewidywał on faktyczną remilitaryzację Niemiec, nie mówiąc już o łamaniu francuskich zobowiązań sojuszniczych wobec Polski. Idea Paktu zaczęła też zdobywać sobie przychylny oddźwięk w Anglii.

Energiczna kontrakcja ze strony polskiej, nieprzychylnie wobec Paktu stanowisko ZSRR oraz Jugosławii, jego krytyka w Anglii i we Francji, a wreszcie brak zainteresowania nim ze strony Hitlera, pomysł Mussoliniego, na szczęście, pogrzebały. Gdyby jednak tak nie stało się, to sytuacja w Europie i w świecie potoczyłaby się prawdopodobnie diametralnie **inaczej** niż to faktycznie było.

Sytuacja w Europie zaczęła się komplikować jeszcze z innego powodu. ZSRR, który po ustanowieniu w Rapallo, w kwietniu 1922 r., stosunków dyplomatycznych oraz bliskiej współpracy z Niemcami, wojskowej nie wyłączając, mimo prób dalszego ich umacniania, po dojściu Hitlera do władzy, natrafił na trudności na tym odcinku. Podejrzewając też, że niemiecko-polski pakt o nieagresji miał ostrze antysowieckie, ZSRR zaczął więc szukać alternatywnych rozwiązań, co akurat zbiegło się z aktywizacją polityki zagranicznej Francji, która z niepokojem patrzyła na rozwój sytuacji w Niemczech. W rezultacie tego, 18 września 1934 r., ZSRR dopuszczono na członka Ligi Narodów, dla wypełnienia zaistniałej luki, po tym jak Niemcy opuścili ją 12 listopada 1933 r.

ZSRR, który w tym czasie był już w świecie uważany za "normalny" kraj, zwłaszcza po nawiązaniu z nim 16 listopada 1933 r. stosunków dyplomatycznych przez USA, zaczął wielką "ofensywę pokojową", proponując Francji sojusz polityczno-wojskowy. Francja tak daleko nie poszła, wychodząc z pośrednim, gwarantowanym przez nią rozwiązaniem, którym miały być "system zbiorowego bezpieczeństwa", obejmującym ZSRR, Niemcy, Polskę oraz Czechosłowację.

Propozycję francuską, po wahaniach, ZSRR przyjął, ale Niemcy nie wykazywały dla niej zainteresowania. Polska z kolei, uzależniła swoje przystąpienie do "systemu" od przystąpienia do niego Niemiec. Idea francuska skomplikowała się dodatkowo jawnym już złamaniem przez Niemcy "porządku wersalskiego", poprzez wprowadzenie 16 kwietnia 1935 r. zakazanej dotąd powszechnej służby wojskowej, podważającej 100-tysięczny limit Reichswehry.

Od tego momentu dopiero datuje się faktycznie start "*wielkomocarstwo-*

wego procesu sojuszowego", który od samego początku przybrał dwa wyraźnie **przeciwstawne** sobie kierunki.

Pierwszym było zawarcie pomiędzy Francją i ZSRR, 2 maja 1935 r., 5-letniego układu "o pomocy wzajemnej", quasi sojuszu polityczno-wojskowego oraz zawarcie w dwa tygodnie później, 16 maja, wzorowanego na powyższym, układu czechosłowacko-sowieckiego.

Oba "prawie sojusze", jak też uchwały VII Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej, Kominternu, który odbył się w Moskwie w dniach 25 lipca-20 sierpnia 1935 r., wzywające do "antyfaszystowskiego sojuszu sił lewicowych i postępowych" oraz tworzenia "frontów ludowych", stworzyły nową i gorączkową atmosferę w Europie.

Drugim kierunkiem, w olbrzymim stopniu odpowiedzią na ten pierwszy, było porozumienie z 25 października 1936 r. nazistowskich Niemiec i faszystowskich Włoch, nazwane przez Mussoliniego "Osią Berlin-Rzym", wzmocnione następnie "Paktem Stalowym" z 22 maja 1939 r. oraz Antykominternowski Pakt (odpowiedź na wspomniane uchwały Kominternu) z 25 listopada 1936 r., zawarty pomiędzy Niemcami i Japonią.

Pakt nałożył się na "osiowe porozumienie", gdyż Włochy przystąpiły do niego 6 listopada 1937 r. (24 lutego 1939 r. do Paktu przystąpiły Węgry, 26 marca frankistowska Hiszpania, a po wybuchu wojny, z okazji jego przedłużenia 25 listopada 1941 r., dołączyło do niego jeszcze 8 innych krajów, a mianowicie Bułgaria, "nankińskie" Chiny, Chorwacja, Dania, Finlandia, marionetkowe cesarstwo Mandżukuo, Rumunia i Słowacja. Przystąpienie do Paktu, swoisty "papierek lakmusowy", Niemcy proponowały także Polsce, ale bezskutecznie).

Powyższe sojusze i porozumienia stworzyły *grunt* pod wybuch II wojny światowej. Z obu kierunków *sojuszowego procesu w lepszej* sytuacji na progu wojny były państwa Osi i Paktu Antykominternowskiego, nie mając praktycznie godnej przeciwwagi. Nie tak bowiem jak przed I wojną światową, kiedy to Francję, Rosję i Anglię łączył sojusz, przed II wojną światową żadnego sojuszu na wzór tamtego nie było, wspomniany bowiem układ francusko-sowiecki trudno nazwać sojuszem. Ponadto, jego sygnatariusze nie mogli rozwiązać problemu ewentualnego kontaktu bojowego sowiecko-niemieckiego na wypadek ataku Niemiec na Francję. Polska bowiem nie chciała słyszeć o przemarszu wojsk sowieckich przez swoje terytorium, a co najwyżej zgadzała się tylko na przelot sowieckich samolotów.

Nie było, rzecz wówczas istotna, nawet formalnego sojuszu pomiędzy Anglią i Francją (co prawda, nie bardzo wiadomo na jakiej podstawie, Francja oświadczyła 26 stycznia 1939 r., że gdyby była zagrożona, to angielskie

siły zbrojne "staną do jej dyspozycji", co jak wykazały późniejsze doświadczenia było bezpodstawne).

Ten stan rzeczy stworzył wysoce **niebezpieczną** sytuację dla Polski. Poza jej plecami bowiem rozwinęła się wielka "gra dyplomatyczna", w której nie tylko nie brała udziału, ale nawet nie orientowała się w jej przebiegu.

Chodzi przede wszystkim o **powtórne** zaktywizowanie się ZSRR w tym *procesie sojuszniczym*, od przemówienia Stalina, wygłoszonego 10 marca 1939 r. na XVIII zjeździe partii bolszewickiej, w której Hitlerowi dał niedwuznacznie do zrozumienia, że "zbliżenie" pomiędzy ZSRR i Niemcami *nie jest* z góry wykluczone (aluzji tej w Polsce nie rozumiano). Stalin doskonale wiedział, że od 24 października 1938 r. Niemcy już otwarcie zaczęły wysuwać pod adresem Polski żądania, których ona nie przyjmie, co w konsekwencji doprowadzi do konfliktu zbrojnego pomiędzy obu krajami. Wiedział też zapewne, że nawet formalnie sojusznicza Francja nie miała chęci wdawać się z Niemcami w wojnę o "polski korytarz", nie mówiąc już o Anglii, która żadnego sojuszu z Polską nie miała. Nie miał też wątpliwości, że Niemcy pokonają Polskę i staną na granicy z ZSRR.

Po mowie Stalina, nieoczekiwanie, do gry włączył się raptem Londyn, który, bez przeprowadzenia choćby sondujących rozmów z Moskwą na temat ewentualnego sojuszu, zaproponował Warszawie 21 marca 1939 r. przystąpienie Polski do bliżej nie sprecyzowanej "współpracy angielsko-francusko-sowieckiej".

Polska, bardzo słusznie, wyraziła brak zainteresowania propozycją, włączając dwustronny sojusz z Anglią. W odpowiedzi, Anglia poinformowała Polskę 30 marca 1939 r., że udzieli jej "jednostronnych gwarancji bezpieczeństwa" na wypadek zaatakowania jej przez Niemcy, co istotnie premier Neville Chamberlain powtórzył publicznie w dniu następnym w Izbie Gmin. Próba zamiany przez Polskę "deklaratywnej gwarancji" na sojusz wojskowy z Anglią, mimo natychmiastowej podróży ministra spraw zagranicznych Józefa Becka do Londynu, nie dała rezultatu (jeśli nie liczyć tego negatywnego, kiedy to zirytowany Hitler, dowiadując się o Becku, jadącym przez Berlin do Londynu i nie próbującym opuścić wagonu ani tym bardziej nie szukającym z nim kontaktu, 3 kwietnia 1939 r. wydał dyrektywę "Fall Weiss", uruchamiającą przygotowania wojenne przeciwko Polsce).

Po fiasku podróży Becka do Londynu, mimo że gospodarze nadal zapewniali go o ważności swoich gwarancji, wytworzyła się groźna w skutkach **próżnia** wokół Polski. Czy Anglia musiała czekać z zawarciem sojuszu z Polską aż do 25 sierpnia 1939 r. i co było tego przyczyną - jest **niejasne** do dnia dzisiejszego (wersja, że w tym czasie prowadziła tajne rozmowy z Niem-

cami, których nie wypiera się, choć szczegóły ich nie są znane, jest najprawdopodobniej wyjaśnieniem tego postępowania).

A tymczasem działały się dziwne rzeczy. Anglia z Francją bowiem, 13 kwietnia 1939 r., w ponad miesiąc po wspomnianej mowie Stalina, zaczęły raptem sondować Moskwę odnośnie możliwości zawarcia trójstronnego sojuszu. Mimo nie zachęcających reakcji Moskwy, w dniu następnym Francja, a nazajutrz także Anglia, złożyły odpowiednie propozycje w tej sprawie, na które, ku ich zaskoczeniu, już 17 kwietnia 1939 r., Moskwa odpowiedziała pozytywnie.

Tak rozpoczęła się, do dziś *niezbyt jasna*, gra w trójkącie dyplomatycznym, gdzie jednym bokiem była Francja z Anglią, drugim był ZSRR, a trzecim Niemcy. Polska, kraj najbardziej w grze zainteresowany, udziału w niej nie brała ani nie znała jej zagnatwanego przebiegu.

Po wspomnianej reakcji Moskwy, wokół gry zapanowała cisza. Przerwała ją Moskwa, 27 maja 1939 r., proponując Francji i Anglii rozpoczęcie rozmów na temat ewentualnego sojuszu. W międzyczasie jednak, 17 maja 1939 r., ZSRR, poprzez swojego chargé d'affaires w Berlinie, zainicjował już formalne rozmowy z Niemcami. Nieformalne (nie wszystko jest nadal znane na ten temat) zapoczątkowano zapewne już wcześniej. O czym w nich mówiono Francuzi dowiedzieli się już 7 maja 1939 r., zdobywając wstępne informacje na temat przygotowywanego porozumienia sowiecko-niemieckiego, które potem znalazło się w ustaleniach paktu Ribbentrop-Mołotow (zdobytymi informacjami Francja nie podzieliła się z Polską).

Najprawdopodobniej z tego właśnie powodu, Francja, precyzując 19 maja 1939 r. swoje zobowiązania sojusznicze wobec Polski na wypadek agresji niemieckiej, ale nie sowieckiej, którą mogła już przewidywać, mówiła o przyścisaniu jej z pomocą lotniczą natychmiast (Anglia w końcu maja 1939 r. zajęła identyczne stanowisko), ale z lądową pomocą natomiast, *najważniejszą*, miała przyścisnąć dopiero w 15-tym dniu wojny, uzależniając ją jeszcze od podpisania obustronnego "protokołu politycznego", co nastąpiło dopiero 4 września 1939 r.

Francuzi grali więc ewidentnie na zwłokę, podobnie jak Anglicy, którzy prawdopodobnie też wiedzieli co działo się pomiędzy Moskwą a Berlinem.

Do rozpoczęcia 27 maja 1939 r., proponowanych przez Moskwę rozmów z Paryżem i Londynem, nie doszło. Paryż z Londynem bowiem, wychodząc raptem z nowymi propozycjami sojuszniczymi, spowodowały przesunięcie terminu spotkania na późniejszą datę. Moskwa, już 2 czerwca, odpowiedziała na przedłożone propozycje własnymi kontrpropozycjami, chwilo-wo też powstrzymując naciski Berlina na finalizowanie wzajemnego zbliże-

nia (rozmowy zakulisowe zapewne jednak trwały, gdyż Francuzi 4 lipca 1939 r. zdobyli informacje, że zwłoka w trójstronnym sojuszu doprowadzi do paktu Berlin-Moskwa).

Londyn i Paryż na kontrpropozycje Moskwy, z przyczyn dość niejasnych, nie odpowiedziały. Wobec tego, 22 lipca, Moskwa ujawniła prowadzone z Berlinem rozmowy, wyjaśniając jednocześnie, iż jakoby były one *jedynie* natury handlowej. Krok Moskwy spowodował, że już w dwa dni później Londyn i Paryż zgodziły się na jej postulat, żeby ewentualny sojusz wojskowy był poprzedzony układem politycznym. Teraz jednakże Moskwa straciła raptem zainteresowanie dla własnej propozycji, domagając się zawarcia *najpierw* sojuszu wojskowego. W trzy dni później Paryż z Londynem wyraziły na to zgodę, wysyłając na średnim szczeblu delegację wojskową do Moskwy (jadąc drogą morsko-kolejową przybyła tam dopiero 12 sierpnia 1939 r.).

W dniu przybycia delegacji na miejsce, Moskwa poinformowała Berlin, że gotowa jest do *wznowienia* zawieszonych rozmów politycznych.

Odtąd już sprawy potoczyły się błyskawicznie. Moskwa, zarzucając delegacji angielsko-francuskiej brak pełnomocnictw do podejmowania wiążących zobowiązań wojskowych, musiała jednocześnie zachęcić w jakiś sposób Berlin do działania. Joachim von Ribbentrop, niemiecki minister spraw zagranicznych, 14 sierpnia 1939 r. wyraził gotowość złożenia w Moskwie wizyty w celu "położenia fundamentów pod *ostateczne* rozwiązanie problemu wzajemnych stosunków". Już w dniu następnym, Władimir Mołotow, od maja 1939 r. nowy minister spraw zagranicznych ZSRR, zapytał z kolei Berlin czy byłby on gotów na "pakt o nieagresji". Tego też dnia Moskwa "zawiesiła" bezterminowo rozmowy z delegacją angielsko-francuską, praktycznie je zrywając (formalnym powodem był głównie niby brak zgody Polski do wejścia na jej terytorium wojsk sowieckich pod nieobecność stanu wojny pomiędzy ZSRR a Niemcami).

Berlin, 17 sierpnia 1939 r., odpowiedział pozytywnie na propozycję Moskwy, a w dwa dni później Mołotow z kolei odpowiedział pozytywnie na wcześniejszą propozycję Ribbentropa złożenia mu wizyty. Już w dniu następnym, 20 sierpnia, Hitler zaproponował depeszą Stalinowi jak najszybsze przyjęcie Ribbentropa w Moskwie. Stalin wymienił datę 23 sierpnia, Hitler ją przyjął i 22 sierpnia Berlin podał oficjalnie, że Ribbentrop udaje się do Moskwy.

I tak doszło do **decydującego** o wybuchu II wojny światowej paktu Ribbentrop-Mołotow, podpisanego 23 sierpnia 1939 r. w Moskwie, który, ze względu na tajny załącznik, z obu sygnatariuszy uczynił *faktycznych* sojuszników, przynajmniej w odniesieniu do Polski, której IV rozbiór wspólnie za-

planowali (a potem wykonali).

Hitler, mając porozumienie ze Stalinem w kieszeni, zaplanował atak na Polskę już na 26 sierpnia 1939 r., ale podpisanie polsko-angielskiego sojuszu wojskowego 25 sierpnia odciągnęło w ostatniej chwili atak o kilka dni, do 1 września 1939 r.

Najsmutniejsze w tym "młyńcu dyplomatycznym" było to, że Polska nie orientowała się w prowadzonej grze, a Francja z Anglią bynajmniej nie próbowały dzielić się z nią poufnymi informacjami, które zdobywały ze źródeł niemieckich (nie ma dowodów na to, że zdobywały również z sowieckich).

W tym miejscu należy też przypomnieć rzecz powszechnie znaną, a mianowicie zdobycie przez ambasadę USA w Moskwie, niemal natychmiast po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow, wspomnianego powyżej tajnego załącznika. Przekazany natychmiast do Waszyngtonu, wstrząsnął prezydentem Rooseveltem, ale jego zdobycie *zataił* przed Anglią, Francją, a co najważniejsze - Polską. Zwrócił się jedynie z "apelem pokojowym" do Włoch, Niemiec i Polski, bezskutecznie - jak wiadomo - i bezsensownym.

W rezultacie swojej niewiedzy o istnieniu tajnego załącznika, Polska, już po wybuchu wojny, rozpoczęła w Moskwie rozmowy na temat otrzymania ewentualnej pomocy sowieckiej w odpieraniu agresji niemieckiej z samym ... Mołotowem!

C. Wielkomocarstwowe sojusze i ich funkcjonowanie w czasie II wojny światowej.

W porównaniu do I wojny światowej, kiedy sojusznicy na ogół skrupulatnie przestrzegali swoich zobowiązań, poza Włochami, które wyłamały się z Trójprzymierza, przyłączając się do Trójporozumienia, w czasie II wojny światowej wiarołomstwo sojuszników, jak też tworzenie nieprzewidzianych przedtem sojuszków, formalnych i faktycznych, było nagminnym zjawiskiem. Świadczyło to o postępującym procesie *zwyrodnienia* wielkich mocarstw, niekoniecznie tylko tych totalitarno-militarystycznych, ale także demokratycznych.

Anglia z Francją na przykład, które wiedziały o bezowocności wspomnianych powyżej rozmów polsko-sowieckich na początku wojny, zachowały milczenie. A kiedy zamiast oczekiwanej pomocy, którą Moskwa nawet jakby przyrzekała, zaczęła wkraczać Armia Czerwona dla dokończenia pospołu z Wehrmachtem IV rozbiór Polski, to jej angielsko-francuscy sojusznicy *odradzali* choćby symboliczną obronę przed nowym napastnikiem. Ostrzegali również, żeby w Lidze Narodów, broń Boże, Polska nie nazwała

ZSRR agresorem (ZSRR wyrzucono 16 grudnia 1939 r. z Ligi Narodów, ale nie z powodu agresji na Polskę, tylko na Finlandię).

Na tym nie koniec. Anglia z Francją, choć formalnie wojnę Niemcom wypowiedziały 3 września 1939 r., żadnych przyrzeczonych Polsce działań wojennych, odciążających front polsko-niemiecki, nie podjęły. Zwłaszcza powietrznych, które miały podjąć natychmiast po napadzie Niemiec na Polskę. Anglia, 3 września, ograniczyła się jedynie do zrzucenia 6 mln. ulotek nad Niemcami, aczkolwiek powinna podjąć ich bombardowanie już nie w obronie Polski, ale samej siebie (tego dnia bowiem niemiecka łódź podwodna storpedowała angielski statek pasażerski, zabijając 118 jego pasażerów). Wreszcie, 11 września 1939 r., po tym jak 5 dni wcześniej omyłkowo zestrzeliła 2 swoje własne samoloty, Anglia zdecydowała w ogóle nie podejmować przyrzeczonych Polsce powietrznych działań przeciwko Niemcom (o lądowych nigdy nie było mowy).

Francuzi z kolei, przyrzeczonych Polsce natychmiastowych działań powietrznych przeciwko Niemcom, nawet ulotkowych, nigdy nie podjęli. Natomiast, 9 września 1939 r., zaczęli niby lądowe, formalnie nawet przedterminowe ("terminowe" miały rozpocząć się nie wcześniej niż 19 września), okupując kawałek zaminowanego lasu niemieckiego i oddając ogień z karabinów ręcznych w stronę przeciwnika, na który ten nawet nie pofatygował się odpowiedzieć...

Polska, walcząc w osamotnieniu, pchnięta jeszcze sowieckim nożem w plecy, nie miała najmniejszych szans na skuteczną obronę.

Czy jednak ofiara nie opłaciła się, gdyż Anglia z Francją, wypowiadając wojnę Niemcom, uruchomiły łańcuch wydarzeń, który spowodował ich klęskę?

W takim twierdzeniu jest niewątpliwie wiele prawdy, ale klęska Niemiec **nie oznaczała** przeciętwa Polski! Klęska Niemiec **nie była** bowiem wynikiem wypowiedzianej im przez te mocarstwa wojny, a raczej szczęśliwym zbiegiem okoliczności, gdzie faktyczni sojusznicy, Niemcy i ZSRR pobili się między sobą, Japonia napadła na USA, a Niemcy, dotrzymując sojuszu z nią, wypowiedziały im wojnę.

W przypadku innego biegu wydarzeń, Anglia, podobnie jak przed nią Francja, wojnę przegrałaby.

Przechodząc do funkcjonowania istniejących już przed wybuchem II wojny światowej sojuszków oraz rodzenia się nowych, to jest to oddzielny rozdział historii, nie mający odpowiednika w czasie I wojny światowej.

W dniu 28 września 1939 r. mianowicie, kiedy w Polsce kampania jeszcze nie wygasła, ZSRR pogłębił swój *faktyczny* sojusz z Niemcami, goszcząc

Ribbentropa w Moskwie po raz wtóry w ciągu 5 tygodni i podpisując z nim "traktat o przyjaźni i granicach", Pakt Ribbentrop-Mołotow Nr 2, likwidujący istnienie Państwa Polskiego i rozpoczynający faktyczne likwidowanie wspólnymi siłami Narodu Polskiego (temu celowi służyły spotkania Gesta-po-NKWD).

Chronologicznie, już nie quasi-sojuszem, jakim był niemiecko-sowiecki, ale jak najbardziej autentycznym, był zawarty w Berlinie 27 września 1940 r. Pakt Trzech, sojusz niemiecko-japońsko-włoski, łączący w jedną całość wcześniejsze porozumienia "osiowe" i "antykominternowskie".

Pakt ten był o istotnym znaczeniu politycznym, ale nie wojskowym. Pakt Antykominternowski bowiem, w pojęciu Japonii został pogwałcony przez Niemcy. W chwili bowiem, gdy na Dalekim Wschodzie, w dniach 20-25 sierpnia 1939 r., wojska japońskie prowadziły na wielką skalę bitwę z wojskami sowieckimi, Berlin, bez uprzedzenia Tokio, zawarł z Moskwą pakt Ribbentrop-Mołotow. Pakt Trzech miał więc usunąć zaistniałe nieporozumienia oraz wykluczyć niespodzianki tego rodzaju w przyszłości.

Z powodów jednak niezupełnie jasnych do dnia dzisiejszego, tak nie stało się i po ataku Niemiec na ZSRR nie doszło do wspierającego go ataku Japonii. Doszło natomiast, po tym jak Japonia dokonała agresji przeciwko USA, do wypowiedzenia im wojny przez Niemcy.

Od strony czysto wojskowej jednak, Pakt Trzech, podobnie jak "osiowy" i "antykominternowski", był "*papierowym*" sojuszem. Wspólnych, czy choćby skoordynowanych działań wojennych niemiecko-włoskich z Japonią, nie było, podczas gdy wspólne działania niemiecko-włoskie były ograniczone w początkowej fazie wojny głównie do Grecji oraz Jugosławii, a później do Afryki Północnej. Współdziałanie wojsk obu mocarstw pozostawiało jednak wiele do życzenia, przede wszystkim ze względu na bez porównania mniejszy od niemieckiego włoski potencjał wojenny. Po odsunięcia Mussoliniego od władzy 25 lipca 1943 r., nawet i to współdziałanie przestało praktycznie istnieć, po tym jak Niemcy okupowały Włochy.

Po stronie przeciwnej z kolei, po tym jak Francja skapitulowała w czerwcu 1940 r., sytuacja wyglądała alarmująco, z Anglią walczącą praktycznie samotnie, jeśli nie liczyć jej formalnych sojuszków z rządami emigracyjnymi, w tym z polskim, którego nieliczna armia, lotnictwo zwłaszcza, była jedyną siłą sojuszniczą.

Od wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 r. jednakże, rozpoczął się **nowy** proces powstawania *wielkomocarstwowych sojuszków*, nigdy przez nikogo nie przewidywanych, które stały się przeciwwagą dla Paktu Trzech.

Co najważniejsze, rozpadł się quasi sojusz niemiecko-sowiecki, który, w razie jego przetrwania i pogłębiania się, mógł mieć **decydujący** wpływ na wynik II wojny światowej.

Proces, zapoczątkowany przez Anglię, która 12 lipca 1941 r. podpisała z ZSRR w Moskwie traktat "o wzajemnej pomocy", ustanawiając z nim "prawie sojusz", a faktycznie nieco wcześniej uczyniły to także USA, oferując ZSRR pomoc materialną już 24 czerwca 1941 r., w 2 dni po rozpoczęciu się wojny niemiecko-sowieckiej.

W ciągu następnych kilku miesięcy rozpoczęty proces "*alianckiego sojuszu*" nabrał na rozmachu.

W dniu 1 stycznia 1942 r. bowiem, powstała koalicja Narodów Zjednoczonych, obejmująca początkowo 26 krajów, z Polską włącznie, do której dołączyły następnie formalnie i nieformalnie 18-22 kraje, w zależności od tego jak je liczyć.

Koalicja, zwana potocznie sojuszem, największym w historii i **decydującym** o wyniku wojny, była faktycznie jedynie *politycznym* sojuszem Wielkiej Trójki - USA, ZSRR i Anglii. Nawet pomiędzy USA i Anglią, mimo istnienia między nimi ścisłej współpracy wojskowej, formalnego sojuszu wojskowego nie było. Podobnie nie było go pomiędzy ZSRR i dwoma pozostałymi mocarstwami, aczkolwiek formalnie istniał sojusz angielsko-sowiecki. W rzeczywistości jednak, żadnej angielsko-sowieckiej *bieżącej* współpracy wojskowej nie było, podobnie jak nie było amerykańsko-sowieckiej.

Pod koniec wojny, pomijając wykonanie przez ZSRR "sojuszniczego zobowiązania", którym było wymówienie przezeń wojny Japonii, koalicja Narodów Zjednoczonych, z jej Wielką Trójką na czele, była, podobnie jak Pakt Trzech, w znacznym stopniu jedynie fasadą z dwoma głównymi jej mocarstwami, USA i ZSRR, walczącymi "na własną rękę".

Nowopowstała "*sojuszowa sytuacja*" jednak, aczkolwiek zwiastująca klęskę Niemiec, głównego wroga Polski, stała się, niestety, kolejną gorzką lekcją Historii dla Polaków.

Z dwóch sojuszników bowiem, po kapitulacji Francji w czerwcu 1940 r., pozostał im tylko jeden - Anglia.

Anglia jednak, wychodząc z *niemoralnej*, ale życiowej dewizy, że "*wróg mojego wroga jest moim przyjacielem*", albo, jak to mówił Churchill, że "*gotów był sprzymierzyć się z diabłem dla pokonania Hitlera*", sojusz z Polską praktycznie porzuciła na rzecz faktycznego sojuszu z ZSRR. Nowy jej sojusznik miał milionowe armie, a nie tysięczne jak Polska, która jako siła w wojnie, skromna na początku wojny, po przegranej kampanii przestała się praktycznie liczyć.

I żeby na tym Anglia skończyła, ale tak nie było, gdyż *zmusiła* jeszcze polski rząd emigracyjny do pójścia w jej ślady, w wyniku czego 30 lipca 1941 r. zawarte zostało porozumienie Sikorski-Majski.

Porozumienie, wysoce niekorzystne dla Polski, poza jego humanitarną stroną, gdyż niewątpliwie uratowało życie dziesiątkom tysięcy Polaków w ZSRR, miało ponadto krótki żywot, do zerwania go przez Moskwę 25 kwietnia 1943 r. na tle sprawy katyńskiej.

Po tym wydarzeniu, Polska pozostała praktycznie bez sojuszu z kimkolwiek. Anglia o sojuszniczych zobowiązaniach wobec Polski nie chciała słyseć, podczas gdy USA nigdy żadnego sojuszu z Polską nie zawarły, jeśli nie liczyć tego w ramach Narodów Zjednoczonych. Należy też przypomnieć, że w momencie trwania ataku Niemiec na Polskę, USA, 5 września 1939 r., pośpieszyły z deklaracją o swojej neutralności. Kiedy jednak ZSRR został napadnięty przez Niemcy, to USA praktycznie zawiesiły swoją neutralność już w 2 dni po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, oferując mu wszechstronną pomoc materialną.

Jak na największą demokrację świata, pośpiech USA w obu przypadkach, jakżeż różny i znamieny w swojej wymowie, nie może nie budzić smutnych refleksji.

ZSRR natomiast, który, jak okazało się, najwięcej liczył się w "sprawach polskich" w czasie II wojny światowej, korzystając ze szczodrej pomocy zachodnich Aliantów, zabrał się energicznie do tworzenia "własnej" Polski. Dzieła dokonał, jak wiadomo, w efekcie czego, 21 kwietnia 1945 r., podpisał z nią sojusz jaki tylko chciał, albo raczej układ podporządkowania,

I ten sojusz, a **nie** żadne inne, zadecydowały o losach Polski przez następne 45 lat, jeśli nie dłużej.

Lekcje II wojny światowej zatem, szczególnie dla Polaków, są więc bardzo pouczające, o wiele więcej niż te z I wojny światowej, kiedy była ona jeszcze względnie cywilizowana.

D. Wielkomocarstwowa II wojna światowa.

Wszystkie z 10-15 tysięcy wojen ostatnich 8-10 tysięcy lat były w większym lub mniejszym stopniu niecywilizowane, ale II wojna światowa pobiła rekord pod względem jej odczłowieczenia, zjawisko wręcz *niezrozumiałe* ze względu na cywilizacyjne zaawansowanie ludzkości w połowie XX wieku.

Nie mniej *niezrozumiała* jest też zmiana na gorsze, jaka wystąpiła pomiędzy stopniem "ucywilizowania" I wojny światowej i II wojny światowej. Zamiast bowiem postępu w tej dziedzinie dokonał się **regres** na skalę przed-

tem niewyobrażalną.

Winę za ten regres ponoszą **wielkie mocarstwa** - sprawcy obu wojen światowych.

Szczególnie niepokojącym zjawiskiem były metody wypowiedania oraz prowadzenia wojen przez wielkie mocarstwa, nie tylko totalitarno-militarystyczne, ale także demokratyczne, miejscami i okresami nie bardzo różniące się od siebie stopniem *degradacji* moralnej, przejawiającej się najdobitniej w walce z ludnością cywilną.*

Zaczynając jednak od degradacji na odcinku rozpoczynania wojen, to wielkie mocarstwa dokonały pod tym względem, choć nie wszystkie oczywiście, milowego kroku do tyłu.

W czasach I wojny światowej, wojny wielkomocarstwowej, wypowiedano ją sobie z zachowaniem wszystkich reguł prawnych oraz zwyczajowych, niemal uroczyście.

W czasie II wojny światowej, wypowiedanie wojny **nie było** już regułą. Nierzadko, jak to było z agresją Niemiec przeciwko Polsce, zapoczątkowującej II wojnę światową, wojnę zaczynało nie tylko od **niespodziewanego** ataku na przeciwnika, ale jeszcze z postawieniem mu zarzutu, że to on pierwszy dokonał agresji! Incydent z radiostacją gliwicką, gdzie Niemcy dopuścili się niesłychanej w historii prowokacji, nie był odosobniony. ZSRR, rozpoczynając działania wojenne przeciwko Finlandii, oskarżył ją najpierw o ostrzelanie ogniem artyleryjskim jego przygranicznych miejscowości.

W konsekwencji tych nieznanych dawniej praktyk, dochodziło do różnych dziwolągów prawno-dyplomatycznych, w których również Polska, niestety, ma swój udział.

Polska, pierwsza ofiara zbrojnej agresji Niemiec, została przez nie napađnięta bez formalnego wypowiedzenia wojny w ciągu następnych ponad pięciu godzin., a i potem sytuacja była niezbyt jasna. Hitler bowiem, przemawiając w Reichstagu i oskarżając Polskę o agresję, mimochodem zaznaczył, że w tej sytuacji Niemcy "weszły z nią w stan wojny", ale oficjalnego jej wypowiedzenia nie było.

Po Hitlerze niczego cywilizowanego nie można było oczekiwać, ale nie od Polski! Prezydent Ignacy Mościcki, zwracając się w godzinach porannych 1 września 1939 r. z orędziem do narodu, nie wiadomo dlaczego, o wypowiedzeniu Niemcom wojny **nie wspomniał** słowem. Decyzji wypowiedzenia wojny Niemcom **nie podjęły** również Sejm z Senatem, zbierając się w godzinach popołudniowych w dniu następnym, 2 września 1939 r.

Wojną, choćby symboliczną, a przecież miejscami stawiano zbrojny opór, Polska **nie odpowiedziała** także na agresję sowiecką z 17 września 1939 r.

Co dziwniejsze, Polska, obok Niemiec kraj *najdłużej* walczącej w Europie, wojnę formalnie wypowiedziała tylko **jednemu** krajowi - Japonii, 11 grudnia 1941 r. Akt ten był o tyle niezrozumiały, że Japończycy w tym czasie świadczyli niektóre usługi na rzecz polskiego Podziemia...

Niemcy, atakując ZSRR, oficjalnie wojny mu nie wypowiedziały, ani on Niemcom, ale za to, 5 września 1944 r., wypowiedział ją Bułgarii, która, choć u boku Osi, wojny mu nigdy nie wypowiedziała (ZSRR, poza Bułgarią, wypowiedział jeszcze wojnę Japonii, 8 sierpnia 1945 r., jedyne więc dwie wojny, które oficjalnie wypowiedział).

Poza tymi wyjątkami, gdzie wojnę oficjalnie sobie wypowiediano, II wojna światowa od początku przybrała charakter *rozboju międzynarodowego*, nie liczącego się z **żadnymi** uświęconymi tradycją i prawem międzynarodowym zasadami.

Celowały w tym wielkie mocarstwa, głównie Niemcy, Japonia oraz ZSRR. Na ogół też nie przestrzegano, jak to było w okresie I wojny światowej, jeśli dokonać wyjątku w odniesieniu do masowych rzezi cywilnych Ormian przez wojska tureckie w 1915 r., humanitarnych zasad jej prowadzenia.

Wojna była totalna, barbarzyńska, a miejscami **świadomie** ludobójcza, przy której zbrodnie tureckie błędą.

Do dziś spory budzi także postępowanie mocarstw demokratycznych w czasie II wojny światowej.

Bombardowanie miast niemieckich przez lotnictwo alianckie było odwetem za barbarzyńskie naloty Luftwaffe oraz ataki V1 i V2 na miasta angielskie.

Ale zbombardowanie Drezna w nocy z 13 na 14 lutego 1945 r. przez lotnictwo amerykańsko-angielskie, miasta zabytkowego, nie mającego znaczenia strategicznego, ponadto w końcowym etapie wojny czy atomowe zombardowanie Hiroszimy i Nagasaki przez USA 6 i 9 sierpnia 1945 r., również w końcowym etapie wojny, miast bez znaczenia wojskowego (Nagasaki było w połowie miastem chrześcijańskim, rzadkość w Japonii), jest już sprawą co najmniej dyskusyjną.

Koniec działań wojennych w 1945 r. wreszcie, nie nastąpił drogą rozejmu, jak to było w 1918 r., po którym względnie szybko nastąpił traktat pokojowy, ale drogą **bezwarunkowej** kapitulacji strony pokonanej, ze stawianiem przed trybunałem wojennym jej przywódców jako zbrodniarzy wojennych.

Nie byłoby w tym nic złego, gdyż przywódcy ci zasługiwali w pełni na karę, ale paradoksem tej nowej praktyki było to, że w Procesie Norymberskim, zaaranżowanym przez zwycięską Wielką Czwórkę, jednym z oskarżycieli i sędziów był ZSRR, zbrodniarz wojenny!

Prokurator sowiecki - przypomnijmy - próbował oskarżać niemieckich podsądnych o ... zbrodnię katyńską. Nic z tego nie wyszło, co prawda, ale w werdykcie Trybunału słowem nie wspomniano **kto** był sprawcą tego ludobójczego mordu!

Przedwojenni i wojenni sojusznicy Polski, Anglia i Francja, jak też wojenny formalnie sojusznik USA, zasiadający w Trybunale, bez sprzeciwu i poczucia sprawiedliwości, tolerujący tego rodzaju naigrzanie się z prawdy, również i w tej dziedzinie **nie zdali egzaminu**.

Erozja *moralnej* strony wojny więc, zakładając jej istnienie, żeby powtórzyć to jeszcze raz, w okresie II wojny światowej zaszła bardzo daleko, co jest groźnym **ostrzeżeniem** na przyszłość.

Wielkie mocarstwa ponoszą **główną** winę za ten niebezpieczny trend historyczny. Trend dlatego, że NATO, *wielkomocarstwowy sojusz*, jakby nawiązywało do złych tradycji II wojny światowej. Rozpoczynając bowiem 24 marca 1999 r. wojnę powietrzno-rakietową przeciwko Jugosławii, czyżby nie miało odwagi wypowiedzieć jej z zachowaniem wszystkich norm prawnych i zwyczajowych? Nie było pewne swoich racji? Czy co jeszcze?

Reasumując, wyniesione przez Polskę z obu wojen światowych "*sojuszowe lekcje historii*", prowadzą do dwóch konkluzji:

(1) tworzenie przeciwstawnych sojuszków przez wielkie mocarstwa jest **zapowiedzią** wojny między nimi, która we współczesnym świecie staje się *wojną światową*;

(2) zawierane przez Polskę sojusze przed II wojną światową były przedsięwzięciem **chybionym** w chwili potrzeby narodowej, podczas gdy w trakcie jej trwania były bezsensowne.

3. Wielkomocarstwowa arogancja - źródło wojen.

4. I wojna światowa.

Konieczność uważnego śledzenia tworzonych przez wielkie mocarstwa przeciwstawnych sobie sojuszków, zapowiedź nowych wojen, daleko nie wyczerpuje dociekania przyczyn ich wybuchu. Wśród wielu aspektów związanych z rozpoczynaniem oraz prowadzeniem wojen przez wielkie mocarstwa wiele jest natury niematerialnej, mało uchwytnej, należącej do dziedziny *arogancji wielkomocarstwowej*.

Przykładem takiej arogancji był wybuch I wojny światowej.

Polacy, co prawda, nie mają powodów do jej krytykowania, gdyż pod jej

nieobecność mogliby pod koniec I wojny światowej nie wybić się na niepodległość, ale ponieważ w II wojnie światowej padli jej ofiarą, więc powinni lepiej się jej przyjrzeć.

Przyczyn wybuchu I wojny światowej doszukano się potem wiele, ale dziś, coraz częściej, przeważa pogląd, że właściwie **nie było** ich w ogóle!

Nie bez znaczenia była ogólna atmosfera w przedwojennym świecie.

W Europie, wówczas jego centrum, poza Rosją i Bałkanami, wojny nie było prawie już od dwóch pokoleń i ludzie w swojej masie jej nie chcieli. Prochem zapachniało dopiero w ostatniej chwili, kiedy sztucznie i historycznie podbito w górę nastroje szowinistyczno-patriotyczno-wojenne po incydencie w Sarajewie.

A kiedy już nastroje wojenne podbito, to i wtedy w żadną masową rzeź nikt nie wierzył. Wojnę liczono co najwyżej na tygodnie, ale nie na lata. Koła wojskowe, które powinny mieć bliską prawdy wizję, nie wyobrażały sobie wielkich i krwawych bitew. Ustroje polityczne z kolei, powodem do zwady nie były, gdyż nawet Rosja też stopniowo ulegała demokratyzacji, a dwory królewsko-cesarskie były ze sobą skoliigacone więzami rodzinnymi. Waluty narodowe były wymienne, po świecie podróżowano bez przeszkód, a wzrost ogólnego dobrobytu wywierał łagodzący wpływ na stosunki międzyludzkie, w tym międzynarodowe.

Do wojny jednak doszło. Po zamachu 28 czerwca 1914 r. na austriackiego następcę tronu w Sarajewie przez serbskiego patriotę, Wiedeń uznał Belgrad za jego prawdziwego sprawcę (do dziś nie ma na to dowodów), domagając się z jego strony podjęcia szeregu kroków, które, prawdę mówiąc, nie szły za daleko. Naciskami Austro-Węgier na Serbię zaniepokoiła się jednak Rosja, nie ukrywając swojej dla nich dezaprobaty. Serbia w tej sytuacji usztywniła swoje stanowisko wobec nacisków Wiednia, w Europie gwałtownie wzrosło napięcie, głównie na linii Trójprzymierze-Trójporozumienie. Wiedeń w tej sytuacji wystosował 23 lipca 1914 r. ultimatum pod adresem Belgradu, powtarzając w nim swoje poprzednie żądania i grożąc wojną na wypadek jego odrzucenia. Rosja już w dniu następnym uznała, że zagrożenie Serbii wojną jest niedopuszczalne, co potwierdziły również Francja z Anglią. Trójporozumienie niechętnie patrzyło bowiem na ekspansję Austro-Węgier w kierunku Bałkanów oraz Adriatyku, zwłaszcza że ekspansję popierały Niemcy. Reakcja Trójporozumienia zachęciła Serbię do przyjęcia postawy "wymijającej", co Austro-Węgry pchnęło do wypowiedzenia jej wojny 28 lipca 1914 r.

Wielkomocarstwowa arogancja Austro-Węgier ujawniła się więc w całej krasie, a w jej ślady poszły *arogancje* kolejnych wielkich mocarstw.

Rosja, na wojnę, zareagowała w dniu następnym mobilizacją, na co Niemcy, najbardziej wówczas aroganckie wśród wielkich mocarstw, 31 lipca wystosowały 12-godzinne ultimatum pod jej adresem, żądając odwołania mobilizacji. Z przyczyn do dziś niejasnych, nie otrzymały odpowiedzi, w konsekwencji czego, 1 sierpnia 1914 r., o godz. 19-tej, Niemcy wypowiedziały Rosji wojnę.

Tak rozpoczęła się I wojna światowa. Niemcy, 3 sierpnia, wypowiedziały wojnę Francji, 4 sierpnia Belgii, w tym samym dniu Anglia wypowiedziała z kolei wojnę Niemcom, Austria 6 sierpnia Rosji, 12 sierpnia Francja z Anglią wypowiedziały wojnę Austro-Węgrom, podczas gdy Japonia, 23 sierpnia, wypowiedziała wojnę Niemcom i w 2 dni później także Austro-Węgrom (jej udział w wojnie był symboliczny).

Mimo zaangażowania się w wojnę 10-ciu krajów przed końcem 1914 r. (obok już wymienionych brały w niej udział także Czarnogóra oraz Turcja), w tym dwóch nieeuropejskich, początkowo nie nazywano jej "światową" tylko "wielką wojną". Do pierwszej wojującej "dziesiątki" z 1914 r. dołączyły potem jeszcze 23 kraje, w tym spośród mocarstw Włochy, wypowiadając wojnę Austro-Węgrom 23 maja 1915 r., Turcji 21 sierpnia oraz Niemcom 28 sierpnia, a nade wszystko dołączyły USA, wypowiadając wojnę 6 kwietnia 1917 r. Niemcom i 7 grudnia Austro-Węgrom.

Teraz dopiero "wielka wojna", wojna **wielkich mocarstw** w pierwszym rzędzie, stała się "wojną światową", pierwszą tego rodzaju wojną w historii.

Wojna, "rozkręcała się" więc dość długo, formalnie aż do 19 lipca 1918 r., kiedy to Honduras przystąpił do niej po stronie Ententy, symbolicznie zresztą, na niecałe cztery miesiące przed jej końcem.

Czynnikami **decydującym** o wyniku wojny, po tym jak Rosja została faktycznie pokonana przez Niemcy i swoje dwie własne rewolucje, marcową i bolszewicką, było przystąpienie do niej USA. Bez ich udziału po stronie Ententy, wojnę najprawdopodobniej *wygrałyby* Państwa Centralne, Niemcy przede wszystkim.

Przystąpienie USA do wojny długo nie było pewne. Stało się jednak możliwe głównie dzięki *aroganckiemu* zachowaniu się Niemiec, które, prowadząc wojnę podwodną bez ograniczeń, mimo wielokrotnych ostrzeżeń USA, rzuciły im wręcz wyzwanie.

Dużą też rolę w krzewieniu nieprzychylnego stosunku USA wobec Niemiec odegrała Anglia, oczerniając je o tyle przesadną co skuteczną propagandą w amerykańskiej prasie (sprawą do dziś niejasną jest autentyczność jakoby przechwyconego 19 stycznia 1917 r. i rozszyfrowanego przez wywiad angielski "telegramu Zimmermanna", sekretarza stanu w Berlinie, in-

struujący niemieckiego ambasadora w Meksyku, aby nakłonił władze tego kraju do podjęcia wojny z USA, przy wsparciu Niemiec, w celu odebrania im utraconych ziem. Telegram ujawniono w prasie amerykańskiej 1 marca 1917 r., co wywołało gwałtowny wzrost nastrojów antyniemieckich). Ważnym powodem wejścia USA do wojny była też rewolucja marcową 1917 r. w Rosji. Obalenie caratu, niepopularnego w USA ze względu na jego autokratyzm i antysemityzm, zmieniło na lepszy ich stosunek do Ententy (dawniej obawiano się, że jej zwycięstwo oznaczać będzie przede wszystkim zwycięstwo carskiej Rosji).

O wybuchu i przebiegu I wojny światowej zdecydowały więc **wielkie mocarstwa**, ich *arogancja*, podstęp, a nierzadko przypadek.

B. II wojna światowa.

W znacznym stopniu sytuacja sprzed I wojny światowej powtórzyła się również przed i w czasie II wojny światowej.

Tym razem jednak, przyczyny wybuchu wojny tkwiły swoimi korzeniami w *niedokończonej* I wojnie światowej, co nie oznaczało, że "choroba na wielkomocarstwową arogancję" nie miała nowych objawów.

Zwycięskie mocarstwa, poza USA, tkwiącymi w izolacjonizmie, miały różne objawy tej choroby.

Francja z Anglią, w kontynentalnej Europie, ta pierwsza głównie, wykazywały *wielkomocarstwową arogancję* wobec wszystkich innych państw, nawet im przyjaznych, jak na przykład wobec Polski. Anglia z kolei, wyraźnie kokietująca Niemcy, do Polski miała stosunek otwarcie niechętny, uważając nawet, iż podarowała jej niepodległość na paryskiej Konferencji Pokojowej.

Mocarstwa pokonane zaś, Niemcy i Rosja (po 1922 r. ZSRR), też nie były wolne od arogancji, zanim jeszcze Hitler doszedł do władzy w Niemczech, a w ZSRR niepodzielnie zapanował kult Stalina.

Przedhitlerowskie Niemcy, demokratyczna republika weimarska, w stosunku do swoich mniejszych sąsiadów, Polski przede wszystkim, wykazywały niedopuszczalną arogancję, graniczącą z wielkomocarstwowym szowinizmem. Wojna celna z Polską, rozpoczęta przez Niemcy w połowie 1925 r., była wyraźnie obliczona na jej gospodarcze załamanie. Ironiczne zaś epitety na temat "Polnische Wirtschaft", "gospodarki polskiej", rozsiewane przez Niemcy po świecie, miały przekonać wszystkich, że Polska to niezdolny do samodzielnego bytu "sezonowy kraj". Niemieckie koła rządzące, jeszcze na długo przed Hitlerem, nie kryły się też z otwartym rewizjonizmem terytorial-

nym w odniesieniu do Polski, co tylko omawianej arogancji nadawało szczególne posmaku.

ZSRR z kolei, arogancję wykazywał wobec wszystkich krajów, z powodów ideologicznych, jako "model świata przyszłości", który miał zastąpić "świat przeszłości". Lansując ideę światowej rewolucji komunistycznej, przez kierowanej, ZSRR swoją arogancję podbudowywał praktycznymi działaniami. W stosunkach z Polską, niezależnie od nieukrywanego niezadowolenia z powodu "granicy ryskiej", ZSRR zaczął podejmować otwarte próby jej destabilizacji, zwłaszcza w rejonach przygranicznych.

Na szczególnie groźną w skutkach arogancję "zachorowała" też Japonia, gdzie do władzy doszedł militarizm, mieszanka "moralnego komunizmu", jak to sam określał, wielkomocarstwowego szowinizmu oraz specyficznej odmiany nazizmu, czego już nie nazywał po imieniu.

Na arogancję, miejscami graniczącą z farsą, gdyby nie krwawe tego skutki, zapadły również faszystowskie Włochy.

Zarówno Japonii jak i Włochom zaczęły się więc marzyć podboje, a kiedy przeszły od słów do czynów, podejmując działania wojenne w różnych miejscach globu ziemskiego, to swoimi działaniami znacznie przyczyniły się do wzrostu napięcia w międzywojennym świecie.

Sytuacja w świecie radykalnie zmieniła się na gorsze, po tym jak do władzy w Niemczech doszedł Adolf Hitler, a ZSRR, w wyniku 5-latek, zaczął stawać się olbrzymią potęgą wojskową.

Przed I wojną światową, z aroganckim kajzerem, mniej już aroganckim rządem Niemiec, czy jeszcze mniej aroganckimi dużymi partiami w parlamencie, można było prowadzić *cywilizowany* dialog. Ówczesne Niemcy, cokolwiek o nich nie powiedzieć, były nie mniej demokratyczne od Anglii, a nade wszystko były państwem prawa, bardziej od wszystkich innych. Możliwe nawet, że gdyby Rosja naprawdę chciała porozumieć się z Niemcami w celu uniknięcia wojny, to szanse tego były **wysoce** prawdopodobne.

Odmienne ukształtowała się sytuacja w Niemczech po 1933 r. Ich tradycyjnie *wielkomocarstwowa arogancja*, spotęgowana kliniczną arogancją Hitlera, snującego wizję "nowego ładu" w Europie, w wydaniu "narodu panów", nowe zjawisko w świecie, praktycznie **wykluczała** sensowny dialog z takim krajem. Mógł on już być **wyłącznie** bądź z pozycji siły bądź pełną kapitulacją przed żądaniem bez końca.

Polityka z pozycji siły jednak, stała się **niemożliwa** po tym jak pozwolono "opatrnościowemu wodzowi" na otwarte złamanie porządku wersalskiego w Europie, a tym samym w świecie, w wyniku czego Niemcy bardzo szybko stały się wielką potęgą militarną.

Dopuszczenie do remilitaryzacji Niemiec stało się z kolei możliwe, tylko dzięki *naiwnej arogancji* Anglii i Francji, zadufanych w swoją potęgę i wierzących w siłę swojej perswazyj oraz układy z Hitlerem, czego jaskrawym dowodem było Monachium.

Reszty dopełniła "*zimna arogancja*" Stalina, wyciśniętego z jakiegokolwiek moralności oraz *cyniczna arogancja* Roosevelta, który szacunkiem darzył jedynie wielkie mocarstwa.

Sytuację pogarszał fakt, że odmiennie niż przed I wojną światową kształtowały się nastroje w świecie.

USA zajęte były swoimi własnymi sprawami, podczas gdy w Europie panoszył się totalitaryzm komunistyczny, nazistowski i faszystowski, a w Azji militarizm japoński. Kraje totalitarno-militarystyczne miały z jednej strony wszelkiego rodzaju pretensje do wszystkich innych narodów, a z drugiej strony do samych siebie, wykazując jednocześnie dużą prężność, ferwor czerwono-brunatno-czarnych rewolucji i kultywowanie siły.

Przeciwstawne im demokracje były zaś słabe, nie mogąc sobie poradzić z sytuacją społeczno-gospodarczą po Wielkim Kryzysie, w znacznym stopniu zanarchizowane i o niezdecydowanych elitach kierowniczych. Francuzi ponadto, a w znacznym stopniu także Anglicy, mający świeżo w pamięci krwawą I wojnę światową, nowej bali się jak ognia, zwłaszcza w obronie Polski, w ich pojęciu dyktatorskiej, proniemieckiej, antysemickiej, a nade wszystko bez znaczenia dla ich interesów gospodarczych.

W tej sytuacji, przy rosnącej arogancji krajów totalitarno-militarystycznych oraz trwających w izolacjonizmie USA, wszystko zdawało się prowadzić już tylko do wojny.

Wojna, nawet i w takiej sytuacji, nie musiała wybuchnąć, ale tak nie stało się i ten fakt liczy się najwięcej, a nie "co by było, gdyby było".

Formalnie, wojna zaczęła się w Polsce i o Polskę, ale równie dobrze mogła się rozpocząć wszędzie indziej.

Czy zaś miałyby identyczny przebieg od powszechnie znanego, gdyby nie polskie "Nie!", jest dziś sprawą praktycznie bez znaczenia. Co najwyżej jedynie losy Polski mogły potoczyć się jakoś inaczej, ale czy ludzkości jako całości - jest już problematyczne.

Lekcja historyczna dla Polaków płynie zaś stąd taka, że **muszą** uważnie obserwować dalszą ewolucję "*wielkomocarstwowej arogancji*", z której ludzkość, mimo tragicznych doświadczeń, bynajmniej się nie wyleczyła.

Od obowiązku tej obserwacji **nie zwalnia** Polaków ich przynależność do NATO.

Nie ma bowiem wielkich mocarstw bez *wielkomocarstwowej arogancji*,

a jedynie **różne** mogą być jej objawy w różnych okresach czasu.

Zawsze jednak należy być przygotowanym na to, że *wielkomocarstwo-
wa arogancja*, bez względu na jej formy, jest **potencjalnym** zarzewiem no-
wej wojny.

4. Wielkie mocarstwa w wojnach światowych

O tym, że obie "gorące" wojny światowe, jak też jedna "zimna wojna" światowa, której poświęcony jest kolejny rozdział książki, były wywołane przez wielkie mocarstwa oraz przez nie prowadzone - jest **niewątpliwe** w świetle przytoczonych już faktów.

Lista faktów jest jednak bardzo długa i wymaga dalszych uzupełnień.

Wojny miały bowiem swoje "*ilościowe i jakościowe wymiary*", które, lepiej niż wszystkie inne fakty razem wzięte, wskazują na wielkie mocarstwa jako ich **głównych** aktorów.

A. I wojna światowa.

Ograniczając się jedynie do niektórych *ilościowych* danych I wojny światowej, podkreślających rolę w niej wielkich mocarstw, a nie do jej przebiegu, częściowo już poruszanego w innych miejscach, obraz sytuacji był następujący:

(1) *Rosja*, 165-milionowy kraj na początku I wojny światowej, zmobilizowała w okresie 1914-1917 r. 12 mln. ludzi, z czego średnio 6 mln. walczyło na froncie wschodnim i tureckim.

Armia rosyjska była **najliczniejsza** w wojnie. Ona również poniosła **największe** straty, wynoszące łącznie 9,1 mln., czyli ponad 76 procent zmobilizowanego stanu, z czego 1,7 mln. w zabitych zmarłych, prawie 5 mln. rannych oraz 2,5 mln. wziętych do niewoli bądź zaginionych bez wieści;

(2) *Niemcy*, wówczas 62-milionowy kraj, dokonały **największego** wśród walczących stron wysiłku wojennego, powołując pod broń 11 mln. ludzi, z czego średnio 4 mln. walczyło w pierwszej linii na wszystkich frontach.

Niemcy były ponadto krajem, który poniosł **największe** straty w zabitych i zmarłych, 1.773 tys., większe od Rosji, jak też drugim po niej krajem o największych łącznych stratach, wynoszących ponad 7,1 mln., co równało się prawie 65 procentom zmobilizowanego stanu (niezależnie od zabitych i zmarłych, 4,2 mln. było rannych oraz 1,15 mln. wziętych do niewoli lub zaginio-

nych bez wieści);

(3) *Anglia*, w okresie wojny 43-milionowy kraj, ale łącznie z posiadłościami zamorskimi ponad 500-milionowy. Na 8,9 mln. zmobilizowanych, średnio ok. 5,9 mln. walczyło i służyło w różnych miejscach globu ziemskiego. Z tego licznego stanu, liczyły się jednak tylko wojska na europejskim teatrze wojennym, BEF, Brytyjskie Siły Ekspedycyjne, walczące we Francji i w Belgii, liczące średnio 1 mln., złożone głównie z Anglików oraz częściowo Kanadyjczyków. Straty angielskie wyniosły łącznie prawie 3,2 mln., czyli ok. 36 procent zmobilizowanego stanu (zabitych i zmarłych było 0,9 mln., rannych 2,1 mln. oraz wziętych do niewoli i zaginionych ok. 0,2 mln.);

(4) *Francja*, wówczas 41-milionowy kraj, powołała pod broń 8,4 mln. ludzi (część z nich pochodziła z posiadłości zamorskich, głównie Afryki Północnej), z czego średnio 3,5 mln. walczyło na frontach, głównie zachodnim. Łączne straty francuskie były czwarte pod względem wielkości, po rosyjskich, niemieckich i austro-węgierskich, wynosząc prawie 6,2 mln., co stanowiło ponad 73 procent zmobilizowanego stanu, ale w zabitych i zmarłych były trzecie, wynosząc prawie 1,4 mln. (ponad 4,2 mln. było rannych oraz ponad 0,5 mln. wziętych do niewoli i zaginionych);

(5) *Austro-Węgry*, na progu wojny liczące 51 mln. mieszkańców, zmobilizowały 7,8 mln. ludzi, z czego ok. 2,7 mln. walczyło na froncie wschodnim, serbskim oraz włoskim. Kraj ten poniósł relatywnie **największe** straty, ponad 7 mln., co równało się 90 procent stanu zmobilizowanego (zabitych i zmarłych było ok. 1,2 mln., rannych ponad 3,6 mln. oraz 2,2 mln. wziętych do niewoli i zaginionych);

(6) *Włochy*, wówczas kraj 40-milionowy, powołały pod broń 5,6 mln. ludzi, z czego ok. 2 mln. walczyło, głównie na froncie z Austro-Węgrami. Straty ich wyniosły ok. 2,2 mln., czyli 39 procent zmobilizowanego stanu (650 tys. było zabitych i zmarłych, prawie 950 tys. rannych oraz 600 tys. wziętych do niewoli i zaginionych);

(7) *USA*, 105-milionowy wówczas kraj, powołał pod broń ponad 4,3 mln. ludzi, z czego połowa służyła poza krajem, a ok. 1 mln. wzięło udział w walkach na froncie zachodnim w ostatniej, ale decydującej fazie wojny. Łączne straty wyniosły ok. 330 tys., czyli tylko 8 procent zmobilizowanego stanu, co było **najniższymi** stratami wśród walczących mocarstw (inne mocarstwo, Japonia, biorąca formalnie udział w wojnie, z 800-tysięczną armią, walk niemal nie prowadziła, mając łączne straty 1,2 tys., w tym 300 zabitych).

Dla porównania należy dodać, że na 12 walczących armii Ententy, gdyż pozostałe nie walczyły, z łącznym stanem zmobilizowanych, wynoszącym

ponad 42 mln., 5 "armii mocarstwowych", stanowiło 98 procent sił koalicji, a w zabitych ich udział wyniósł 99,3 procent.

Nieco inaczej sytuacja ukształtowała się po stronie 4 armii Państw Centralnych.

Z łącznego stanu zmobilizowanych, wynoszącym prawie 23 mln., 2 "armie mocarstwowe" stanowiły 83 procent, ale w zabitych i zmarłych udział ich wyniósł ponad 88 procent.

Nie ulega więc wątpliwości, że również po stronie Państw Centralnych **dominowały** wielkie mocarstwa (niemałą rolę w sojuszu odegrała 22-milionowa wówczas Turcja, imperium, o powierzchni ok. 1,9 mln. km kwadratowych, która wystawiła ponad 2,8-milionową bitną armię, aczkolwiek słabo uzbrojoną, podczas gdy 5,5-milionowa wówczas Bułgaria wystawiła 1,2-milionową armię.).

Wśród walczących armii wielkich mocarstw, początkowo za najlepszą, zarówno pod względem uzbrojenia, dowodzenia oraz ducha walki, uznawano *niemiecką* (w artylerii miała 6-krotną przewagę nad rosyjską), podczas gdy do najsłabszych zaliczano włoską oraz austro-węgierską.

Rola wielkich mocarstw w I wojnie światowej, niezależnie od ich dominującego udziału w wystawieniu "siły żywej" do walki, była jeszcze większa w zaopatrzeniu jej w sprzęt bojowy. Wojna, pierwsza tego rodzaju w historii ze względu na nasycenie jej techniką, wymagała rozwiniętego i nowoczesnego przemysłu oraz zaplecza naukowo-badawczego dla produkcji wielkich ilości uzbrojenia i amunicji. Tylko wyżej wymieniona "mocarstwowa siódemka" wyprodukowała w czasie wojny ok. 27 mln. karabinów ręcznych, prawie 1,1 mln. karabinów maszynowych, ok. 152 tys. dział i armat różnego kalibru, 18 tys. moździerzy, ok. 182 tys. samolotów oraz 9,2 tys. czołgów. Na masową skalę pojawiły się też łodzie podwodne (same Niemcy miały ich 157), nowoczesny sprzęt łącznościowy, przewodowy i bezprzewodowy, broń chemiczna, transport zmechanizowany oraz wiele innego sprzętu bojowego.

Kraje, które mogły wyposażyć swoje armie w nowoczesną broń, automatycznie zdobywały *przewagę* nad przeciwnikiem, który nie był w stanie tego uczynić.

Ze względu na zwiększoną siłę ognia, zwłaszcza artyleryjskiego, który po raz pierwszy w historii powodował *większe* straty w sile żywej na polu walki niż wszystkie inne rodzaje broni razem wzięte, kraje małe i średnie ze słabo rozwiniętym przemysłem **nie miały** już więcej szans w wojnie. Znaczenie "białej broni" piechoty i kawalerii, które w przeszłości były ich atutem, drastycznie spadło na rzecz nowoczesnego uzbrojenia.

B. II wojna światowa.

Wybuch jej oraz przebieg, częściowo już opisany, był o wiele **bardziej** złożony niż poprzedniej, I wojny światowej.

Zanim przedstawiony będzie jej "ilościowy wymiar", uzupełnienia wymagają jeszcze inne fakty, odmienne w olbrzymim stopniu od tych z I wojny światowej.

Dla Polaków i Niemców wojna rozpoczęła się 1 września 1939 r., dla Anglików oraz Francuzów w dwa dni później, ale z innymi narodami sprawa była już bardziej złożona.

Na Dalekim Wschodzie, choć na razie na skalę ograniczoną, II wojna światowa zaczęła się już 18 września 1931 r., po agresji Japonii przeciwko Chinom w Mandżurii. Od 7 lipca 1937 r. jednakże, Japonia, bez jej formalnego wypowiedzenia, prowadziła już regularną, niezwykle brutalną i ludobójczą (jej mordy na ludności cywilnej szacuje się na 0,7-10 mln.) wojnę napastniczą przeciwko Chinom, aż do września 1945 r.

Japonia inicjowała też w latach 1930-ch szereg pogranicznych potyczek zbrojnych z ZSRR, w rezultacie których, w dniach 20-25 sierpnia 1939 r., doszło między nimi do wspomnianej już w innym miejscu wielkiej bitwy nad rzeką Chałka w Mongolii, największej wówczas od czasów I wojny światowej bitwy pancernej i powietrznej (przegranej dla niej).

Dla Etiopczyków, broniących się przed napaścią Włochów, wojna zaczęła się w latach 1935-1936. Włosi wzięli też liczny udział, podobnie jak Niemcy (niektóre źródła udział obu szacują na ok. 300 tysięcy), w hiszpańskiej wojnie domowej z lat 1936-1939, w którą wmiszał się w znacznej mierze ZSRR oraz komuniści z całego świata (w ilości ok. 35 tys.).

Międzynarodową atmosferę pogarszały również formalnie niewojenne wydarzenia, ale z udziałem sił zbrojnych. Tak było z zajęciem Nadrenii przez Niemcy w marcu 1936 r., włączeniem Austrii do Niemiec w marcu 1938 r., a także oderwaniem Sudetów od Czechosłowacji we wrześniu tegoż roku, tym razem pod groźbą użycia siły. Pod jej groźbą właśnie Niemcy położyły kres istnieniu Czechosłowacji w marcu 1939 r., tworząc przy okazji satelickie państwo słowackie (1 września 1939 r. napadło na Polskę), w marcu również zaanektowały litewski port Kłajpedę, a na Polsce próbowały od października 1938 r. wymusić znane ustępstwa terytorialne, grożąc 25 marca 1939 r. użyciem siły.

Włochy z kolei, 7 kwietnia 1939 r., zaanektowały Albanie.

Wydarzenia te, formalnie bezkrwawe, bezpośrednio przyczyniły się jednak do wybuchu II wojny światowej.

Tak jak pierwsza, tak i druga wojna światowa, "rozkręcała się" długo.

Od napaści Niemiec na Polskę i wypowiedzenia Niemcom wojny przez Anglię oraz Francję we wrześniu 1939 r., wojna rozszerzyła się na kolejne kraje. Najazd ZSRR na Polskę oraz stopniowe wchłonięcie przezeń krajów bałtyckich, działania przeprowadzone bez wojny, ale z użyciem siły zbrojnej, skończyły się sięgnięciem do niej 30 listopada 1939 r., kiedy to zaatakował on zbrojnie Finlandię.

Wojna więc rozszerzała się, ale światową ciągle jeszcze nie była (ZSRR zresztą, walk z Finlandią za wojnę nie uważał). Nie stała się nią także 9 kwietnia 1940 r., kiedy Niemcy napadły zbrojnie na Danię oraz Norwegię, ani w miesiąc później, 10 maja 1940 r., kiedy zaatakowały Belgię, Holandię oraz Luksemburg. "Rozkręciła się" jednak nieco po tym jak Włochy wypowiedziały wojnę Francji 10 czerwca 1940 r., po tym jak na jej terytorium, 13 maja, wdarły się wojska niemieckie. Zachęcone jej wynikiem, 13 września 1940 r. wojska włoskie wdarły się z Libii do Egiptu, a 28 października, z terytorium okupowanej od kwietnia 1939 r. Albanii, dokonały agresji przeciwko Grecji.

W międzyczasie, po tym jak pod uderzeniem niemieckim Francja skapitulowała 21 czerwca 1940 r., bojowe działania lądowe w Europie, poza walkami włosko-greckimi, chwilowo ustały. ZSRR, po zakończeniu walk z Finlandią 12 marca 1940 r., nowych już nie prowadził, gdyż zażądany zwrot Besarabii i Bukowiny od Rumunii otrzymał 28 czerwca 1940 r. bez działań wojennych.

Na morzu, a szczególnie w powietrzu, wojna tymczasem nie tylko trwała, ale zaczęła nabierać tempa. Hitler bowiem, po zrezygnowaniu z inwazji Anglii, rozkazał podjąć przeciwko niej zmasowane ataki powietrzne. "Bitwa o Anglię", której początki sięgają 10 lipca 1940 r., trwała z różnym nasileniem do 10 maja 1941 r., przynosząc Niemcom klęskę.

Wojna przeniosła się więc znów na ląd. Niemcy, przygotowując się do ataku na ZSRR, zaskoczone niekorzystnym dla nich obrotem spraw w Jugosławii, jak też chcąc wesprzeć Włochy, którym wojna z Grecją szła źle, 6 kwietnia 1941 r. zaatakowały jednocześnie oba kraje, przy częściowym wsparciu Węgier i Bułgarii.

Nadal jednak **nie była** to jeszcze wojna światowa, ani nie stała się nią nawet 22 czerwca 1941 r., kiedy to Niemcy zaatakowały ZSRR, aczkolwiek tym razem zbliżyła się do niej milowym krokiem.

Światową wojna stała się dopiero w dniach 7-11 grudnia 1941 r., od agresji Japonii przeciwko USA oraz od wypowiedzenia im wojny przez Niemcy i Włochy.

Końcowym akcentem "uświatowienia" wojny było wreszcie wymówie-

nie 8 sierpnia 1945 r. wojny Japonii przez ZSRR, z mocą od dnia następnego, ale wtedy wojna w Europie była już od 3-ch miesięcy zakończona.

Przebieg II wojny światowej, podobnie jak I wojny światowej, był pod przemożnym wpływem *wielkich mocarstw*, Niemiec i Japonii po stronie Paktu Trzech, a po stronie mu przeciwnej Francji i Anglii do czerwca 1940 r., przez następny rok osamotnionej Anglii, od czerwca 1941 r. ZSRR oraz Anglii, a od grudnia tegoż roku Wielkiej Trójki: USA, ZSRR i Anglii.

Na europejskim teatrze wojennym główną rolę w koalicji Narodów Zjednoczonych odgrywał ZSRR, a na azjatyckim USA.

"*Mocarstwowa Siódemka*" z I wojny światowej uległa w czasie II wojny światowej pewnym zmianom w swoim wewnętrznym składzie, w związku z wypadnięciem z niej Austro-Węgier, nie istniejących w czasie II wojny światowej, jak też Francji po czerwcu 1940 r., od kiedy po przegranej kampanii przestała się liczyć jako wielkie mocarstwo. Na opuszczone miejsce weszły jednak Japonia i Chiny, w rezultacie czego "*Siódemka*" pozostała, ale w nieco zmienionym składzie.

Przechodząc do "*ilościowego wymiaru*" sił zbrojnych nowej "*Siódemki*", w szczytowym okresie ich stan osobowy wynosił (dane na ten temat są rozbieżne):

(1) *U S A*, 132-milionowy kraj w momencie przystąpienia do wojny, miał pod jej koniec **największe** w świecie siły zbrojne, 16,1-milionowe (według wcześniejszych źródeł 12,1-milionowe, czyli nieco mniejsze od sowieckich), z których ok. 1/4 była *siłami liniowymi* (w końcowym etapie wojny ich ok. 2,5-milionowy kontyngent walczył w Europie). Straty w personelu wojskowym sił zbrojnych USA wyniosły ok. 1,1 mln., w tym zabitych i zmarłych ok. 405 tys. oraz ok. 671 tys. rannych (ilość jeńców i zaginionych na ogół nie jest podawana; wcześniejsze i niepełne dane podawały ich ilość na ponad 151 tys.). Były to, po włoskich, drugie **najmniejsze** straty wśród wielkich mocarstw (uwzględniając jeńców włoskie były wyższe);

(2) *Z S R R*, niemal 193-milionowy kraj w czerwcu 1941 r., wystawił 12,5-milionową armię, która w połowie była *armią liniową*. Uwzględniając jednak ilość ludzi pod bronią na tyłach, która wahała się w granicach 30 mln., kraj ten był **czołowym** uczestnikiem w II wojnie światowej.

Armia sowiecka poniosła **największe** straty w wojnie, do dziś dokładnie nieznane.

Niektóre źródła na przykład, ilość zabitych *tylko* na polu walki podają w granicach 6-9 mln., łącznie zaś ze zmarłymi z ran oraz innych powodów, do których zalicza się 3-4 mln. zagłodzonych na śmierć jeńców, z ogólnej ilości;

7-8 mln. wziętych do niewoli, wysokość strat wzrasta, a dodając do nich rannych, 12-15 milionów.

ZSRR i dzisiejsza Rosja, straty w II wojnie światowej podają jedynie globalne, obejmujące personel wojskowy oraz ludność cywilną, które, w zależności od okresu ich publikowania, wyniosły 20-27 mln.;

(3) *Niemcy (wraz z Austrią)*, 80-milionowy wówczas kraj, zmobilizowały 10-milionową armię, w 2/3 liniową.

Uwzględniając jednak ilość ludności pod bronią, wynoszącą ok. 20 mln., był to drugi po ZSRR kraj najbardziej zaangażowany w wojnie od strony "siły żywej".

Straty niemieckie były drugie **największe** po armii sowieckiej, wynosząc ok. 3,3 mln. zabitych i zmarłych oraz 4 mln. rannych (według innych źródeł prawie 7,3 mln.). Ilość wziętych do niewoli jest sporna, podobnie jak zaginionych bez wieści. Niektóre źródła ilość tylko wziętych do niewoli szacują na ponad 4,5 mln., ale ponieważ praktycznie cała armia niemiecka dostała się do niewoli, której dokładny stan ilościowy w czasie bezwarunkowej kapitulacji nie jest dokładnie znany, więc ilość jeńców może być ok. 2-krotnie większa (ilość zaginionych natomiast, głównie na froncie wschodnim, niektóre źródła szacują na ok. 2,9 mln., ale możliwe, iż częściowo chodzi tutaj o jeńców);

(4) *Japonia*, kraj 106-milionowy w 1941 r., wystawiła 6,1-milionową armię (według innych źródeł 9,7-milionową). Jaki był w niej udział wojsk liniowych - nie jest pewne. Straty w personalu wojskowym wyniosły ok. 1,2 mln. zabitych i zmarłych oraz ok. 4,6 mln. rannych. Ilość jeńców była minimalna aż do bezwarunkowej kapitulacji, podczas gdy zaginionych tylko 1,4 tys. (prawdopodobnie byli to jeńcy sprzed kapitulacji);

(5) *Chiny*, 460-milionowy kraj w czasie wojny, miały dwie armie, 3,8-milionową *nacjonalistyczną* oraz 1,2-milionową *komunistyczną*, czyli łącznie 5-milionową armię (niektóre źródła jej stan podają na 17,2 mln.). Siły zbrojne Chin były w rzeczywistości, ze względu na ich uzbrojenie i rozproszenie organizacyjne, siłami bardziej partyzanckimi niż regularnymi wojskami, nierzadko wojującymi między sobą. Straty w zabitych obu armii, przekroczyły 1,3 mln., podczas gdy rannych było ponad 1,7 mln. (ilość jeńców i zaginionych nie jest znana);

(6) *Anglia*, 46-milionowy kraj w 1940 r., a wraz z posiadłościami 495-milionowy, wystawiła prawie 4,7-milionowe "męskie" siły zbrojne oraz prawie 0,5-milionowe "żeńskie" siły pomocnicze, wynosząc łącznie ok. 5,2 mln. (według innych źródeł ok. 5,9 mln.). Udział w tych siłach wojsk liniowych nie jest dokładnie znany.

Do wojsk angielskich należałoby dodać 780-tysięczną armię kanadyjską (według innych źródeł 1,1-milionową), która częściowo współdziałała ściśle z angielską w Europie, podobnie jak 140-tysięczną armię południowo-afrykańską (według innych źródeł 410-tysięczną). Na azjatyckim teatrze Anglicy w znacznym stopniu byli wspierani przez 0,6-1,0-milionową armię australijską, 160-190-tysięczną armię nowozelandzką oraz niemal 2,4-milionową armię Indii (dzisiejszych Indii, Pakistanu i Bangladesz), która walczyła także w Afryce Północnej i Europie.

Straty wojsk angielskich wyniosły ok. 357 tys. zabitych i zmarłych, 369 tys. rannych oraz 53 tys. zaginionych (do strat tych dodaje się często jeszcze straty wojsk posiadłości angielskich, które wyniosły 206 tys., w tym prawie 111 tys. zabitych i zmarłych, 198 tys. rannych oraz ponad 37 tys. zaginionych).

Ilość jeńców natomiast jest sporna i na ogół nie podawana.

(7) *Włochy*, kraj w czasie wojny 45-milionowy, wystawił 3,1-milionową armię (według innych źródeł 4,5-milionową). Jej straty wyniosły w zabitych i zmarłych prawie 390 tys., w zaginionych ok. 215 tys. oraz jeńcach ok. 1,4 mln. (ilość rannych nie jest dokładnie znana). Po obaleniu Mussoliniego 25 lipca 1943 r. oraz wymówieniu wojny Niemcom 13 października, armia włoska uległa faktycznej dezintegracji, częściowo dołączając do Aliantów, częściowo dostając się do ich niewoli, jak też niemieckiej albo przechodząc do partyzantki i walcząc w okupowanym przez Niemców kraju.

Do wymienionych powyżej *mocarstwowych armii* należałoby dołączyć jeszcze 5-milionową armię francuską, która jednakże po czerwcu 1940 r. przestała istnieć. Podjęta pod koniec wojny jej odbudowa doprowadziła ją jedynie do 140-tysięcznego stanu, co w żadnym wypadku nie kwalifikowało jej w tym czasie do miana *mocarstwowej armii* (Polska pod koniec wojny miała ok. 400-tysięczną armię na froncie wschodnim i ok. 200-tysięczną na zachodnim, ale nikt do wielkich mocarstw jej nie zaliczał, gdzie niezbędne minimum wynosiło co najmniej 1 milion żołnierzy i oficerów walczących w dodatku samodzielnie)..

Wśród armii "*Siódemki*" najslabszymi były obie chińskie, nacjonalistyczna i komunistyczna, a także włoska. Główną tego przyczyną było ich słabe uzbrojenie, zwłaszcza w pierwszym przypadku, podczas gdy w przypadku armii włoskiej również brak ducha do walki (był natomiast w partyzantce).

Z pozostałych armii, w zależności od okresu wojny, armia **niemiecka** uważana była za najlepszą, zwłaszcza lądowa, aczkolwiek od drugiej połowy 1943 r. również armia sowiecka miała wysokie notowania operacyjno-bojo-

we. Front wschodni, na którym walczyła, był **decydujący** na europejskim teatrze wojennym, nie tak jak w okresie I wojny światowej, kiedy był nim zachodni (okresowo jednak był nim również front wschodni).

Najsilniejszą armią była natomiast **amerykańska** w przededniu zakończenia wojny, a po wejściu w posiadanie broni atomowej, po udanej z nią próbie 16 lipca 1945 r., jeszcze przed zakończeniem wojny z Japonią, już ponad wszelką wątpliwość.

Identycznie jak w czasie I wojny światowej, tylko na skalę o wiele większą, o sile poszczególnych armii decydowało w ostatecznym rachunku ich *uzbrojenie* oraz wszelkiego rodzaju zaopatrzenie, głównie w paliwa płynne (był to **największy** problem w armiach Paktu Trzech, ograniczając w bardzo poważnym stopniu ich sprawność bojową).

Decydująca rola wielkich mocarstw w II wojnie światowej, podobnie jak w czasie I wojny światowej, znajdowała wyraz zarówno w stanie ilościowym ich armii, jak też ich wyposażeniu.

W pierwszym przypadku, odpowiednie porównania są o tyle utrudnione, gdyż małe oraz średnie kraje biorące udział w wojnie, mające na początku kampanii całkiem liczne, regularne armie, jak to było z Polską, która wchodząc do wojny miała 1-milionową armię. Po ich przegraniu jednak, kraje te bądź ich nie miały w ogóle bądź o zredukowanym stanie, w dodatku w końcowej fazie wojny. Podziemie zaś i jego lekkozbrojne oddziały partyzanckie tylko *warunkowo* można porównywać do armii regularnych. Jeszcze inne, jak 600-tysięczna armia rumuńska czy 450-tysięczna armia bułgarska, zmieniały strony w wojnie i stąd odpowiednie porównania pomiędzy stanem ilościowym *mocarstwowych* i *niemocarstwowych* są prawie niemożliwe. Bez większego ryzyka można jednak stwierdzić, że *niemocarstwowe* armie odgrywały w II wojnie światowej **marginesową** rolę. Wojna, tak naprawdę, toczyła się w jej drugim etapie, w latach 1942-1945, w czworoboku ZSRR-Niemcy-USA-Japonia z Anglią i jej posiadłościami "na dostawkę".

W drugim przypadku, jeśli chodzi o zaopatrzenie frontów, przede wszystkim w środki walki, to wielkie mocarstwa miały prawie pełny **monopol** w tej dziedzinie. W związku z olbrzymim postępem technicznym w uzbrojeniu, jak też olbrzymim wzrostem zapotrzebowania na jego dostawy, zadaniu mogły sprostać jedynie kraje duże i o rozwiniętym zapleczu produkcyjnym oraz naukowo-badawczym.

Wyjątkowo wyraźnie monopol ten zaznaczył się w najnowszych rodzajach uzbrojenia, znanych już w czasach I wojny światowej, co prawda, ale teraz już o *nieporównywalnych* parametrach bojowych poszczególnych typów broni oraz ich ilości dostarczanych na pole walki.

W porównaniu do I wojny światowej na przykład, w czasie II wojny światowej **decydująca** w niej broń pancerna, wliczając do niej nieznane poprzednio działa samobieżne, broń **decydującą** w zmaganiach wojennych, została wyposażona po obu stronach frontów w prawie 280 tys. pojazdów, czyli ilość porównywalnie 30-krotnie większą, nie mówiąc już o nieporównywalnej jakości tej broni!

Tylko produkcja czołgów średnich i ciężkich przekroczyła 160 tys., z czego USA wyprodukowały ich 56 tys., ZSRR 54,5 tys., Anglia 23,2 tys., podczas gdy Niemcy prawie 20 tys. Mocarstwa takie jak Włochy wyprodukowały ich już tylko 4,6 tys., wliczając do nich czołgi lekkie, a Japonia jedynie ok. 2,5 tys. Chiny, formalnie mocarstwo, nie produkowały czołgów w ogóle.

Najlepszym czołgiem II wojny światowej był sowiecki T-34, których wyprodukowano 40 tysięcy, a pod względem największego kalibru działa również czołg sowiecki, ISII, z działem 122mm.

Sprzęt latający z kolei, obok broni pancерnej **współdecydujący** o przebiegu II wojny światowej, w stopniu nieporównywalnym do I wojny światowej, był następnym przykładem faktycznego zmonopolizowania jego produkcji przez wielkie mocarstwa (poza Chinami, które go nie produkowały, Włochami, produkującymi go w niewielkich ilościach i o niskich parametrach bojowych oraz Francją, która po 1940 r. nie odgrywała już żadnej roli pod tym względem do końca wojny).

W okresie II wojny światowej produkcja sprzętu latającego wzrosła w porównaniu do I wojny światowej 10-krotnie, nie mówiąc już o tym, że sprzęt ten pod względem parametrów bojowych dokonał większego skoku jakościowego niż jakikolwiek inny typ broni w porównywanym okresie.

Główni producenci tego sprzętu, USA, ZSRR, Anglia, Niemcy i Japonia, dostarczyli go własnym siłom zbrojnym w okresie 1939-1945, licząc tylko samoloty wojskowe, prawie 790 tys. sztuk. Prym wiodły USA, produkując ponad 303 tys. samolotów, choć za ich wytwarzanie wzięły się na dobre dopiero po 1941 r. (w 1939 r. wyprodukowały 2,1 tys. samolotów, ale w 1944 r. już ponad 96 tys.). Po USA największymi producentami samolotów wojskowych byli: ZSRR - 158,2 tys., Anglia - 131,5 tys., Niemcy - 119,9 tys. oraz Japonia - 76,3 tys.

W czasie II wojny światowej sensacją stało się lotnictwo odrzutowe, produkcji niemieckiej (Anglicy byli w nim pionierami, ale z jego zastosowania bojowego zrezygnowali). Osiągając szybkość 920 km/godz., na barierze dźwięku, niemieckie samoloty Me-262, uzbrojone w rakiety "powietrze-poietrze" oraz 30 mm działo pokładowe, szybsze o ponad 300 kilometrów na

godzinę od najszybszego samolotu alianckiego, były *niezwyciężone* w walce, zesztrzeliwując "superfortece" w znacznych ilościach i to bez strat własnych (tylko ok. 200, od 1944 r. poczynając, było w akcji, gdyż Hitler, zniechęcony dużą konsumpcją paliwa przez odrzutowce, nie był ich zwolennikiem).

Podobnie jak w czasie I wojny światowej, również podczas II wojny światowej zaopatrzenie frontów w artylerię i moździerze, inny monopol wielkich mocarstw, było nadal aktualne, ale na skalę bez porównania większą (w armii sowieckiej artyleria była "bogiem wojny").

W związku z wyposażeniem czołgów w działa, a nawet samolotów w działka mniejszego kalibru, jak też pojawieniem się wielkokalibrowych karabinów maszynowych oraz dział bezodrzutowych, zaliczanych do sprzętu artyleryjskiego, ich produkcja wzrosła 15-krotnie, a uwzględniając podwyższone parametry bojowe tego sprzętu, jeszcze więcej.

W armii sowieckiej ponadto, na dużą skalę zaczęto do uzbrojenia wprowadzać artylerię raketową, słynne "Katusze", siejące panikę wśród Niemców na froncie wschodnim.

Broń strzelecka, dziedzina zdawałoby się nie pozostawiająca wiele miejsca dla postępu po I wojnie światowej, też przeszła "małą rewolucję", w której znów przodowały wielkie mocarstwa. Nowością był pistolet maszynowy, dawniej nieznaną, rusznice i granatniki przeciwpancerne, a także ulepszone i szybkostrzelne oraz masowo stosowane ręczne karabiny maszynowe.

Pojawiło się też wiele nieznaną dawniej operacji taktycznych i strategicznych, zarówno lądowych oraz powietrznych, możliwych jedynie dla stron posiadających wielkie ilości sprzętu pancernego, samochodowego i latającego. Operacją szczególnie groźną było *strategiczne bombardowanie* (lotnictwo amerykańsko-angielskie w jego ramach zrzuciło ok. 1,9 mln. ton bomb burzących i zapalających na Niemcy, a dodając do niego bombardowanie taktyczne 2,7 mln. ton). Odmianą strategicznego bombardowania były niemieckie rakiety skrzydlate, V-1 i balistyczne, V-2, broń *nieznana* innym armiom, przed którą, głównie V2, obrona była niemożliwa.

Na dużą skalę do niektórych flot wielkich mocarstw weszły lotniskowce, niezwykle groźne na niektórych teatrach działań wojennych (USA miały ich 38, Anglia 10 i Japonia 3). Nadal też znane w czasie I wojny światowej, ale w II wojnie światowej unowocześnione, łodzie podwodne siały zniszczenie na wszystkich morzach. Gdyby Niemcy zrealizowali niektóre swoje modernizacyjne pomysły na tym odcinku, to nie jest wykluczone, że wojna mogłaby potoczyć się *inaczej* ze względu na możliwość zdeorganizowania transportowania wojsk i materiałów wojennych z USA na europejski i azjatycki teatr wojenny drogą morską, a innej praktycznie wtedy nie było.

Olbrzymią rolę w wojnie odgrywała łączność, rozwinięta i unowocześniona na skalę dawniej nieznaną, w tym przede wszystkim radiolokacja - radar. Znany Anglikom już od 1932 r., ale na skalę masową wprowadzony dopiero w okresie II wojny światowej (w jego posiadanie weszły też inne mocarstwa), radar odegrał rolę *równą* najnowocześniejszym broniom.

Największą jednak rewelacją w dziedzinie uzbrojenia pod koniec wojny była **broń nuklearna** w jej pierwszym stadium - atomowym. Był to dobitny dowód na to, że wojny światowe są nie tylko domeną wielkich mocarstw, ale *niektórych* z nich.

Mocarstwa te, zwane *supermocarstwami* w czasie "zimnej wojny", uzbrojone po zęby w broń nuklearną, trzymały ludzkość dziesiątkami lat na krawędzi nowej "gorącej" wojny - III wojny światowej.

Rozdział II:

Pierwsza "zimna wojna" światowa

1. "Zimna wojna" - nowe zjawisko w historii.

Dwie "gorące" i jedna "zimna" wojny światowe, trwające przez niemal 3/4 najkrwawszego w historii XX wieku, to nowe i stanowiące jedną całość zjawisko. Niedokończona I wojna światowa bowiem, stała się powodem wybuchu II wojny światowej, której finał z kolei nie był po myśli głównych jej zwycięzców, co stało się powodem wybuchu I "zimnej wojny" światowej w miejsce "gorącej" III wojny światowej, na którą, na szczęście, główni adwersarze, nie mogli się zdobyć.

Możliwe, że to "wojenne trio" jest początkiem nowego *trendu historycznego*, "gorąco-zimnowojennego" o ogólnoświatowych wymiarach, który ludzkość albo zdoła przerwać albo on przerwie kiedyś jej egzystencję.

O dwóch "gorących" wojnach światowych wiadomo bardzo dużo, ale ciągle ich nieznanne strony są ujawniane, podczas gdy znane są nieprzerwanie uzupełniane i nierzadko na nowo interpretowane.

Z "zimną wojną", w historii *pierwszą* i o światowym zasięgu, ledwie co zakończoną, jeśli tylko naprawdę, wiadomo niewiele albo nie zawsze zgodnie z prawdą. "Zimna wojna" bowiem była głównie polityczno-ideologiczną, aczkolwiek nie wolną od aspektów czysto wojskowych, zaliczając do nich również działalność wywiadowczą. Aspekty te nadały "zimnej wojnie" szczególnie tajemniczego charakteru, co nie ułatwia jej obiektywnej oceny. Wiele jej tajemnic pozostaje nadal nie ujawnionych, siły strategiczne głównych mocarstw, do niedawna uczestników "zimnej wojny", są w pogotowiu bojowym, "cicha wojna" wywiadów i kontrwywiadów trwa, a sytuacja międzynarodowa jest daleka od nie budzącej niepokoju.

"Zimna wojna" wreszcie, niezależnie od możliwości jej przerośnięcia w **każdej** chwili w "gorącą" III wojnę światową, obfitowała w "wojny zastępcze", regionalne oraz domowe albo jedne i drugie zarazem, "wojny przez pośredników" (war by proxies).

Do wojen tych należała, między innymi, wojna koreańska z 1,6-1,7 mln. ofiar, indochińska, z co najmniej 1,5 mln. ofiar, a licząc z rzezią Pol-Pota w Kambodży, ok. 2,5-3 mln., afgańska, z 1-1,5 mln. ofiar, czy angolańska, z 0,5-1 mln. ofiar (te dwie ostatnie ciągle trwają).

"Gorących", regionalnych i domowych wojen, z których nie wszystkie były "wojnami przez pośredników", było znacznie więcej. Jeśli za koniec "zimnej wojny" uznać rozpad ZSRR w grudniu 1991 r. (inni za jej koniec uważają upadek muru berlińskiego), to ilość różnego rodzaju wojen, łącznie z domowymi, wyniosła po zakończeniu II wojny światowej co najmniej **150**, a według innych szacunków **3-krotnie** więcej, z ilością ofiar **przewyższającą** krwawy bilans I wojny światowej.

"Zimna wojna" jest ponadto dla ludzkości doświadczeniem **bardziej** pouczającym niż obie "gorące" wojny światowe. W czasie jej trwania bowiem, ludzkość, aczkolwiek będąc niejednokrotnie na krawędzi III wojny światowej, nie tylko się od niej uchroniła, ale albo położyła kres wojnom światowym, "gorącym" oraz "zimnym" albo wpadła w ~~jej~~ uścisk, z którego ^{ich} tylko *pozornie* wyzwoliła się na pewien czas zanim do niej nie powróci w tej lub innej formie. A może zewrze się w "gorącej" III wojnie światowej?

Jakikolwiek jej koniec ostateczny - jest ona godna przypomnienia.

2. Narodziny i I etap "zimnej wojny" (1945-1953).

A. Churchill, Stalin, "sprawa polska", Truman?

Za początek "zimnej wojny" uważa się powszechnie przemówienie Winstona Churchilla, b. brytyjskiego premiera z czasów II wojny światowej, ogłoszone w obecności amerykańskiego prezydenta Harry Trumana w dniu 6 marca 1946 r. w Westminster College w Fulton, w stanie Missouri.

Churchill, mówiąc o "*zapadłej Żelaznej Kurtynie nad Europą, od Szczecina na Baltyku, do Triestu na Adriatyku*", miał tymi słowami jakoby zapoczątkować "zimną wojnę". Określeniu "żelazna kurtyna" bowiem, nigdy w cudzysłowie i zawsze z dużej litery w języku angielskim, nadano charakter *metryki urodzin* tej osobliwej wojny.

Według innych źródeł, "zimna wojna" rozpoczęła się od "mowy wybor-

czej” Stalina w Moskwie w dniu 9 lutego 1946 r., który, wzywając “naród radziecki” do wysiłków oraz poświęceń, w ciągu co najmniej trzech 5-latek, dla pokrzyżowania “knowań podżegaczy wojennych” i oświadczając, że *jak długo będzie istniał kapitalizm, tak długo wojny są nieuniknione*, stał się jej ojcem chrzestnym.

Najmniej liczne źródła wreszcie, wybuch “zimnej wojny” przypisują “*sprawie polskiej*”, która pod koniec II wojny światowej poróżniła poważnie Wielką Trójkę.

Chronologicznie, “sprawa polska” była istotnie najbardziej widowym zwiastunem nadchodzącej “zimnej wojny”, aczkolwiek nie ona była jej prawdziwym początkiem.

Rzeczywistość była bowiem bardziej skomplikowana. “Sprawa polska” w jej całokształcie była jedynie jednym z licznych symptomów, choć pierwszym z tych ważniejszych, świadczących o pogarszających się stosunkach w łonie Wielkiej Trójki pod koniec II wojny światowej, ale to wszystko.

Ze względu jednak na konieczność uczenia się Polaków na doświadczeniach, “sprawę polską” należy pokrótce przypomnieć.

Stalin, zanim wyłożył swoje *credo* we wspomnianej już “mowie wyborczej” z lutego 1946 r., stwarzał niektóre fakty dokonane jeszcze w czasie trwania II wojny światowej, a zwłaszcza pod jej koniec, głównie w Polsce, kładąc tym samym **podwaliny** pod przyszłą “zimną wojnę”. Dostrzegł to 1 kwietnia 1945 r. prezydent Roosevelt, który dotąd miał wyjątkowo dużo zrozumienia dla postępowania Stalina. Szkoda tylko, że tak późno, na niecałe dwa tygodnie przed swoją śmiercią. Churchill zaś, który widział to wcześniej, nie był już premierem od 28 lipca 1945 r., po przegranych wyborach.

Dlaczego Roosevelt musiał czekać niemal do końca wojny na zorientowanie się w intencjach Stalina? Nie mógł uczynić tego wcześniej?

Odpowiedź na to pytanie wymaga cofnięcia się nieco w przeszłość.

Jak już to wspomiano w innym miejscu, USA bardzo niechętnie patrzyły na carską Rosję. Po rewolucji marcowej 1917 r. jednak, swój stosunek do Rosji zmieniły na pozytywny. Ale, po bolszewickim zamachu stanu, znów zmieniły go na negatywny, biorąc nawet nieudany udział w interwencji zbrojnej wielu państw przeciwko bolszewickiej Rosji. Potem, aż do 16 listopada 1933 r., najpierw z bolszewicką Rosją, od grudnia 1922 r. nazywającą się ZSRR, USA nie miały stosunków dyplomatycznych. Nowy prezydent Franklin Delano Roosevelt jednakże, demokratą, na ZSRR spojrział przychylniejszym okiem, nie tylko nawiązując z nim stosunki dyplomatyczne, ale także forsując udzielanie mu dużych kredytów, w naiwnej wierze, że jego chłonny rynek ożywi tkwiącą w kryzysie gospodarkę amerykańską. W USA, co gor-

sza, ze względu na olbrzymie bezrobocie, wynik Wielkiego Kryzysu, rzekome sukcesy gospodarcze pierwszej 5-latki w ZSRR wywoływały wiele zachwytów, zwłaszcza w kręgach mniejszości żydowskiej i lewicy, które, przeżalone nazizmem w Niemczech oraz faszyzmem we Włoszech, widziały w nim niemal raj na ziemi i zbawienie ludzkości.. W brutalną i ludobójczą kolektywizację oraz krwawe czystki w ZSRR nie wierzono, a przeciwnie, znajdowali się nawet ochotnicy na ... wyjazd tam do pracy!

Wybuch wojny w Europie nic w tym pozytywnym stanowisku USA do ZSRR nie zmienił. Już na jej początku, 5 września 1939 r., USA, znając przecież tajną treść paktu Ribbentrop-Mołotow i widząc już jej pierwsze skutki, ogłosiły pośpiesznie swoją *neutralność* w wojnie. Inaczej, jak to już było wspomniane w poprzednim rozdziale, postąpiły po ataku Niemiec na ZSRR. Już w 2 dni po nim Roosevelt przyrzekł pomoc ZSRR, a w dniu następnym, 25 czerwca 1941 r., *unieważnił* neutralność USA w odniesieniu do ZSRR, obierając Władystok jako port, przez który miał dostarczać dla niego pomoc.

Pomoc amerykańska, w ramach istniejącego od marca 1941 r. tzw. Lend-Lease, rozszerzonego następnie na ZSRR, była mu więc regularnie dostarczana, wywierając olbrzymi wpływ na jego zmagania z Niemcami. Stosunki Waszyngton-Moskwa były jak najbardziej poprawne, jeśli nie serdeczne, a pierwsze spotkanie Roosevelt-Stalin przy okazji teherańskiego szczytu Wielkiej Trójki na przełomie listopada-grudnia 1943 r., stosunki te tylko polepszyło. Podobnie było ze spotkaniem jałtańskim w lutym 1945 r., aczkolwiek w tym czasie Roosevelt mógł mieć już wiele powodów do zmiany swojego pozytywnego stosunku do Stalina. Tak jednak nie stało się, gdyż schorowany Roosevelt w drodze do Jałty nie był w stanie zapoznać się dogłębnie ze sprawami, które powinien był gruntownie omówić ze Stalinem.

USA, po udanym otwarciu frontu w Europie, jak też pomyślnym postępowaniu w wojnie z Japonią, były już pewne zwycięstwa. Uwagę swoją w tej sytuacji zaczęły coraz bardziej zwracać na powojenne porządki w świecie. Zgodnie ze swoją tradycją i wiarą w demokrację, porządki te USA chciały rozpoczynać w wyzwolanych krajach od wolnych wyborów. Szczególnie w Polsce, która, nie tak jak Bułgaria, Rumunia czy Węgry, dawne państwa Osi, była członkiem zwycięskiej koalicji. Polska była też w innej sytuacji niż Jugosławia i Czechosłowacja, członkami koalicji. Josifa Broz-Tito, komunistę, choć nie bez oporów, USA uważały za autentycznego przywódcę Jugosławii. Nie było też kłopotów z emigracyjnym przywódcą Czechosłowacji, prezydentem Eduardem Benešem, otwartym przyjacielem ZSRR, który sam układał się z nim bez pośrednictwa USA czy Anglii, nie mówiąc już o tym, że do

końca wojny kraj nie był w pełni wyzwolony.

Sprawy z Polską, największą w regionie, której rząd emigracyjny USA z Anglią uznawały, nie uznając jednocześnie stworzonych przez Moskwę "władz lubelskich", miały się jednak inaczej. Ujawniło się to w pełni wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej na terytorium Polski, wywołując natychmiast tarcia w łonie Wielkiej Trójki. Przyczyną tarć było, aczkolwiek niezbyt energiczne, domaganie się USA i Anglii wolnych wyborów w Polsce, czemu ZSRR wyraźnie oponował. Na tym tle, już po Jałcie, doszło w kwietniu 1945 r. do ożywionej wymiany korespondencji pomiędzy przywódcami Wielkiej Trójki, której początek widział jeszcze Roosevelt.

Niestety, nic konkretnego z tej wymiany nie wynikało, a przeciwnie - sprawy zaczęły przybierać niepomysłny obrót dla USA i Anglii, nie mówiąc już o Polsce.

Oba mocarstwa zachodnie, USA zwłaszcza, pomne przyrzeczenia Stalina z Jałty, że w 3 miesiące po zakończeniu wojny z Niemcami uderzy na Japonię, traktowały jako sprawę o wiele *ważniejszą* niż cokolwiek innego. Wywiad USA oceniał wówczas opór japoński na 1,5 roku, którego złamanie mogłoby kosztować 1 mln. ofiar (z bronią atomową sprawa nie była jeszcze wtedy pewna).

Stosunki amerykańsko-sowieckie ponadto, formalnie sojusznicze, a już z pewnością *partnerskie* w ramach koalicji Narodów Zjednoczonych, rozwijały się ogólnie pomyślnie i stąd **niełatwo** było Rooseveltowi czy potem Trumanowi, dokonać ich radykalnej zmiany na gorsze. Szczególnie, że opinia publiczna w USA i Anglii wynosiła pod niebiosa bohaterstwo Armii Czerwonej, na której barkach spoczywał główny ciężar wojny z Niemcami. Wiedziano, że gdyby nie ona, USA z Anglią musiałyby przelewać więcej krwi własnej dla ich pokonania, a na to nie miały ochoty.

Po śmierci Roosevelta 12 kwietnia 1945 r. jednak, kiedy prezydentem USA został dotychczasowy wiceprezydent Harry Truman, osobowość wybitna, choć nieobeznana w sprawach międzynarodowych, od których Roosevelt trzymał go z daleka, istniejący stan rzeczy zaczął się zmieniać.

Truman, już na początku swojej prezydentury, zetknął się ze "sprawą polską", kiedy to ZSRR poinformował USA, że zamierza podpisać sojusz z tymczasowymi władzami Polski. USA, zaoponowały temu, podając za powód przedwczesność takiego sojuszu przed wolnymi wyborami. Moskwa postawiła jednak na swoim, podpisując sojusz 21 kwietnia 1945 r., na dzień przed spotkaniem Trumana z Mołotowem, który miał przybyć do Waszyngtonu. Krok Moskwy miał posmak wręcz wyzwania pod adresem nowego prezydenta. Truman, rozmawiając z Mołotowem, nie dał po sobie tego poznać,

zapewniając gościa o kontynuowaniu "linii Roosevelta" w stosunku do ZSRR, informując go jednakże, że sprawa współpracy Wielkiej Trójki w "kontekście polskim" powinna być omówiona na spotkaniu trzech ministrów spraw zagranicznych w dniu następnym (w Waszyngtonie przebywał akurat angielski minister Anthony Eden).

Mołotow zgodził się z propozycją, spotkanie ministrów skończyło się fiaskiem, co wzburzyło Trumana, który odtąd, swój ogólnie pozytywny stosunek do ZSRR, zmienił na gorszy.

Nie na tyle jednak, co mu nawet podpowiadano, żeby *ultymatywnie* porozmawiał z Mołotowem jeszcze raz o "sprawie polskiej", gdyż przeważał pogląd kół wojskowych, które nie interesowały się nią zupełnie, a jedynie przyrzeczoną udziałem ZSRR w wojnie z Japonią.

W tej sytuacji, Waszyngton swoje niezadowolenie z powodu wspomnianego sojuszu Moskwa-Warszawa, wyraził *odmową* zaproszenia rodzącej się PRL na konferencję w San Francisco, gdzie miano utworzyć ONZ.

Na tym Truman nie skończył jednak i na powtórny spotkanie z Mołotowem, 23 kwietnia 1945 r. wieczorem, użył w stosunku do niego ostrych słów (wzburzony tym Mołotow oświadczył wtedy, że *nikt* dotąd takim językiem z nim nie rozmawiał).

Nie ten epizod jednakże, powszechnie wówczas nieznanym, stał się początkiem "zimnej wojny", gdyż USA nie poszły wtedy za przysłowiowym ciosem.

Powodów tego było wiele. Jednym z nich był fakt, że USA, jeszcze przed końcem działań wojennych w Europie, zaczęły z niej wycofywać lotnictwo na Daleki Wschód w związku z nasilaniem się walk z Japonią. Po kapitulacji Niemiec zaś, to samo zaczęły czynić z wojskami lądowymi, redukując swoją tam obecność wojskową z ok. 2,5 mln. do ok. 170 tysięcy w ciągu najbliższych 2 lat..

Opinia publiczna w USA chciała szybkiego końca wojny, podobnie jak siły zbrojne, złożone głównie z poborowych. W kraju, który przed wybuchem wojny latami tkwił w kryzysie, produkcja po jej wybuchu wzrosła 2,5-krotnie, praca czekała na odbywających służbę wojskową.

O ZSRR, jako nowym wrogu, nie mówiono ponadto nigdy, a więc nikt nie wybierał się z nim na wojnę. Gdyby nie ukrywano zbrodni katyńskiej oraz innych dawniejszych i aktualnych przestępstw sowieckich, to może opinia publiczna byłaby skłonna poprzeć bardziej zdecydowaną postawę USA wobec ZSRR. Ponieważ tak nie było, to "zgrzyt waszyngtoński" ze spotkania Truman-Mołotow **nie miał** większego wpływu na bieżące stosunki amerykańsko-sowieckie.

Dowodem zaś, że stosunki w łonie Wielkiej Trójki jakby znów zaczęły się polepszać, był jej kolejny szczyt w Poczdamie, w dniach 16 lipca - 2 sierpnia 1945 r., gdzie godnych uwagi "zgrzytów" już nie było. Truman, ani tym bardziej Churchill (pod koniec szczytu jego następca Clement Attlee), Stalinowi nie grozili ani on im. A tymczasem ZSRR, zgodnie z przyrzeczeniem, do wojny z Japonią przystąpił, choć USA było to już do niczego niepotrzebne, po tym jak przeprowadziły jej atomowe bombardowanie (Truman, który przedtem, w Poczdamie, próbował "zmiękczyć" Stalina wiadomością o udanej próbie z bombą atomową na poligonie w Alamogordo, co trzymano w tajemnicy, był zdziwiony brakiem jego reakcji, wobec tego i ten ewentualny element nacisku na niego odpadł. Truman sądził, że Stalin nie rozumiał sensu rewelacji, nie wiedząc o tym, że miał on od swojego wywiadu informacje na bieżąco o amerykańskich pracach nad bombą atomową, czego nie dał tylko poznać po sobie).

Kość niezgody w łonie Wielkiej Trójki zresztą, "sprawa polska", była w tym czasie już niby rozwiązana od końca czerwca 1945 r., po utworzeniu w Moskwie, za aprobatą USA i Anglii, Rządu Jedności Narodowej. Pewne zaś spory wokół powojennej polskiej granicy zachodnio-północnej, szybko rozwiązano i wydawało się, że nie tylko nie było powodów do żadnej "gorącej" wojny, ale nawet "zimnej".

Wybuch "zimnej wojny" musiał więc zaczekać do nowej okazji.

B. Churchill, Stalin czy Truman?

Początkiem wybuchu "zimnej wojny", niemal powszechnie uznawanym, stała się więc nie "sprawa polska", ale wspomniana powyżej mowa Churchilla w Fulton.

Churchill w istocie nie był autorem określenia "zimna wojna", które weszło zresztą do powszechnego obiegu nie w 1946 r. tylko w 1947 r., w rok po jego fultonowskim wystąpieniu.

Autorem określenia "zimna wojna" był amerykański finansista i mąż stanu, Bernard Baruch, doradca prezydentów USA w czasie II wojny światowej, a po jej zakończeniu przedstawiciel amerykański w Komisji Energii Atomowej ONZ.

Z czasem jednak, ze względu na użyte przez Churchilla określenie "żelazna kurtyna", które *najtrafniej* oddawało istotę "zimnej wojny", nie mówiąc już o powszechnej popularności jego osoby, jemu zaczęto przypisywać autorstwo tego określenia.

"Żelazna kurtyna", sjamska siostra "zimnej wojny", była jako określenie

po raz pierwszy użyta przez Churchilla 4 czerwca 1945 r., na wiele miesięcy przed jego wystąpieniem w Fulton, kiedy jako premier, pisząc do prezydenta Trumana, namawiał go do nie śpieszenia się z wycofywaniem z Europy amerykańskich wojsk, używając jako argumentu zapadanie nad nią "żelaznej kurtyny"... Ze względu na poufność pisma, określenie to jednakże, nie odbiło się echem w świecie.

Churchill zresztą, nie poprzestał w Fulton tylko na "żelaznej kurtynie", ale wezwał także do *sojuszu wojskowego* anglo-amerykańskiego, "zbrojnego frontu przeciwko ekspansji komunistycznej" - jak to wówczas powiedział.

Stalin, po zapoznaniu się z mową Churchilla, nazwał ją podobno "deklaracją wojny", choć tak naprawdę, jej autor, osoba wówczas prywatna, wojny *nie mógł* nikomu wypowiadać.

Co innego Stalin. Jego "mowa wyborcza" z 9 lutego 1946 r. została wówczas uznana, nie bez racji, przez Williama Douglasa, członka Sądu Najwyższego USA, za "wypowiedzenie III wojny światowej", ale wypowiedź jego nie zrobiła w świecie wrażenia, w efekcie czego Churchillowi przypisano rolę *położnego* "zimnej wojny".

Niedługo po Poczdamie, Stalin, zanim wygłosił swoją mowę, zaczął "próbować" nowych przywódców USA oraz Anglii, Trumana i Attlee, rozpoczynając w tym celu serię działań.

Ku zdziwieniu USA, odrzucił propozycję udzielenia ZSRR, o co sam usilnie zabiegał, pożyczki w wysokości 1 miliarda dolarów, sumy wówczas ogromnej (jednym z powodów była niechęć udzielenia pożyczkodawcy wielu objętych tajemnicą informacji o stanie gospodarki sowieckiej). Nie zgodził się też na przystąpienie ZSRR do nowoutworzonego Międzynarodowego Funduszu Walutowego oraz Banku Światowego, na co USA z Anglią bardzo liczyły (w tym wypadku również w grę weszły tajemnice państwowe, jak stan bilansu płatniczego i handlowego).

Odmowa Moskwy była niespodzianką i dlatego, że w Waszyngtonie dość naiwnie wyobrażano sobie, że ZSRR, po doświadczeniach wojennych, zacznie odchodzić od komunizmu, władzę przejmie armia, czasowo przynajmniej, a kraj powróci do prawosławia i z czasem stanie się demokratyczno-rynkowym. Łudzono się też, iż opuści zajęte obszary w Europie oraz Azji.

Nic z tych nadziei nie wyszło. W ZSRR rozpoczęto nową 5-latkę, wyraźnie kontynuującą wysiłek zbrojeniowy z poprzednich lat, zaostrzono "walkę ideologiczną" w duchu ortodoksyjnego komunizmu, albo raczej stalinizmu, zaczęto też konsolidować kontrolę na zdobytych w czasie wojny obszarach. Już wkrótce Stalin zaczął sięgać dalej, co natychmiast zaniepokoiło USA oraz Anglię.

Główne nieporozumienia, na pokaz przynajmniej, zaczęły się od okupowanych przez cztery mocarstwa Niemiec.

ZSRR, powtarzając bez przerwy swoje obawy przed ich remilitaryzacją, oczywisty nonsens w istniejącej wówczas sytuacji, zaczął komplikować współpracę międzysojuszniczą na terenie Niemiec, podzielonych na strefy okupacyjne 4 mocarstw. USA, w celu "wyleczenia" ZSRR z tych obaw, zaproponowały więc zjednoczenie i zdemilitaryzowanie Niemiec, przy jednoczesnym jednak, ze względu na optakany stan gospodarki, zwolnieniu ich od reparacji wojennych. ZSRR **nie przyjął** tej propozycji, domagając się nadal olbrzymich reparacji wojennych ze *wszystkich* stref okupacyjnych Niemiec, co trzy mocarstwa zachodnie odrzuciły. Uważały bowiem, że pokonanym i okupowanym Niemcom należy się pomoc, a nie pozbawianie ich środków egzystencji. Dla podkreślenia tego stanowiska, strefa amerykańska wstrzymała dostawy reparacyjne do ZSRR, a w jej ślady poszły angielska oraz francuska.

Po tych krokach, napięcie w łonie Wielkiej Czwórki na tle "sprawy niemieckiej" gwałtownie wzrosło.

Napięcie zaczęło też wzrastać z innych powodów. Prezydent Truman, który od objęcia urzędu prezydenckiego w kwietniu 1945 r., aż do początku 1947 r., powstrzymywał się od publicznego krytykowania ZSRR, czyniąc to kanałami dyplomatycznymi, raptem zmienił swoje postępowanie.

Powodem tego stał się najpierw Iran, potem Grecja z Turcją, a wreszcie Chiny, nie mówiąc już o permanentnych nieporozumieniach na tle Europy Wschodniej.

Zaczął się od Iranu, który w 1942 r. został okupowany czasowo przez wojska sowieckie, amerykańskie oraz angielskie. Wojska dwóch ostatnich krajów jednak, na początku 1946 r., prawie już opuściły jego terytorium, podczas gdy sowieckie tkwiły tam nadal, organizując na dodatek powstanie azerskiej mniejszości na północy kraju, a nawet przygotowując komunistyczny zamach stanu w Teheranie. Wojska sowieckie, co gorsza, oprócz tych w Iranie, zaczęły zbliżać się w marcu 1946 r. do jego granic. USA postawiły w tej sytuacji sprawę Iranu na forum nowoutworzonej Rady Bezpieczeństwa ONZ, ścierając się tam publicznie z ZSRR. Poza tym, Sekretarz Stanu James Byrnes ostrzegł Moskwę przed konsekwencjami jej postępowania. Skutek tego był taki, że wojska sowieckie niemal *natychmiast* wycofały się z Iranu.

Następne pole sporów amerykańsko-sowieckich rozpoczęło się wokół Turcji. ZSRR, mając przyrzeczenia USA oraz Anglii jeszcze z czasów wojny, że po jej zakończeniu będzie miał wspólnie z Turcją kontrolę nad Cieśniną Dardaneelską, zaczął się domagać wykonania obietnic, ale USA z Anglią zmieniły zdanie. ZSRR nie ustępował jednak i wysyłając we wrześniu

1946 r. ostrą notę do Turcji, grożącą jej daleko idącymi konsekwencjami, stworzył nowe zarzewie konfliktu. W międzyczasie, ZSRR wniósł na forum Rady Bezpieczeństwa zarzuty pod adresem Grecji za "brutalne zwalczanie powstania ludowego" oraz pod adresem Anglii i Holandii za podobnie brutalne zwalczanie ruchu niepodległościowego w dzisiejszej Indonezji.

Najważniejszym jednak polem starcia stały się sprawy międzynarodowej *kontroli nad energią atomową* w ramach ONZ. Kontrolę, w ramach "planu Barucha", USA zaczęły lansować od czerwca 1946 r. Członkowie ewentualnego porozumienia w tej sprawie mieliby zobowiązać się do nie podejmowania żadnych wysiłków w kierunku opanowania energii atomowej bez zgody oraz nadzoru komisji kontroli ONZ. Gdyby warunki te zostały przyjęte, wtedy dopiero USA byłyby gotowe poddać kontroli swoją broń atomową.

ZSRR, podejrzewając USA o nie dotrzymanie słowa, propozycję odrzucił, wychodząc z kontrpropozycją " *powszechnego rozbrojenia*", którą z kolei odrzuciły USA. Praktycznie więc, sprawa kontroli nad produkcją broni nuklearnej pod kontrolą ONZ **zeszła** z porządku dziennego na wiele lat (w 1957 r., w ramach ONZ, utworzono Międzynarodową Agencję Energii Atomowej, ale w stosunku do "planu Barucha" jest to daleko idący kompromis bez praktycznego znaczenia w stosunku do mocarstw nuklearnych).

Dla USA, po zajęciu zdecydowanie negatywnego stanowiska przez ZSRR wobec ich propozycji, stało się odtąd jasne, że ich monopol na broń atomową jest już tylko kwestią czasu, co w sytuacji zaostrzających się sporów między obu krajami stało się sprawą o **pierwszorzędnym** znaczeniu.

Konsekwencją tego z kolei, było rozpoczęcie przez USA działań w kierunku zmierzającym do **jednoczesnego** osłabiania ZSRR oraz wzmacniania "wolnego świata".

Temu celowi właśnie służyło wystąpienie prezydenta na forum Kongresu USA w dniu 12 marca 1947 r., któremu nadano miano *Doktryny Trumana*. Wystąpienie było rezultatem zawiadomienia USA przez Anglię, że *nie jest* ona w stanie wspierać wojskowo i gospodarczo Grecji, w której toczyła się wojna domowa, grożąca zwycięstwem komunistów. Niepokojąco rozwijała się też sytuacja w Turcji, gdzie komuniści, przy sowieckiej pomocy, tak przynajmniej sądzono, mogli przechwycić władzę.

Starając się przeszkodzić dostaniu się obu krajów pod sowiecką dominację, Truman zwrócił się do Kongresu o udzielenie im pomocy gospodarczej i wojskowej.

Krok ten stał się **narodzinami** "zimnej wojny", aczkolwiek formalnie żadnej deklaracji w tym kierunku nie było.

Truman, zdobywając się na to, nie czynił tego pod wpływem chwili. Już

wcześniej, tuż po zakończeniu wojny z Japonią, zastanawiał się jak zabezpieczyć owoce zwycięstwa USA, szczególnie na zachodnim brzegu Pacyfiku i na Półkuli Zachodniej. Słabym punktem, w pierwszym przypadku, były Chiny, gdzie nacjonaliści, źle zorganizowani oraz skorumpowani, mieli rosnące kłopoty z komunistami, kandydatami do władzy. Próby Trumana pogodzenia nacjonalistów z komunistami spełzały na niczym, wskutek oporu przywódcy nacjonalistów gen. Czang Kaj-Szeka oraz nieszczerych intencji Mao Zedonga, przywódcy komunistów (Truman starał się nawet nakłonić Stalina do nie pomagania Mao, nie wiedząc, że ten już to czynił, przekazując mu zapasy broni zdobytej na Japończykach w Mandżurii).

Próby pogodzenia stron przeciągały się, USA coraz bardziej obwiniały za to nacjonalistów, a tymczasem wstrzymana chwilowo wojna domowa w Chinach rozgorzała na nowo. Dla ratowania sytuacji, w USA dyskutowano nawet nad przejściem bezpośrednich rządów w Chinach, ale chęci nie było dla tego pomysłu, w efekcie czego zaczęto się stamtąd wycofywać.

Zaniepokojony rozwojem sytuacji w Europie oraz Azji, prezydent Truman zabrał się za uporządkowanie organizacji sił zbrojnych USA oraz innych organów państwowych, związanych z obronnością i bezpieczeństwem kraju, tworząc w 1947 r. NSC, Radę Bezpieczeństwa Narodowego, nieznaną dotąd instytucję, koordynującą działania na tym odcinku, Pentagon, zintegrowany resort obrony narodowej oraz CIA, Centralną Agencję Wywiadowczą.

Plan Marshalla, od nazwiska Sekretarza Stanu George Marshalla, program pomocy gospodarczej dla Europy, ogłoszony 5 czerwca 1947 r. był kolejnym krokiem Trumana, faktycznie **drugą** deklaracją "zimnej wojny". Za sumę ówczesnych prawie 13 miliardów dolarów, sumę ogromną do udźwignięcia nawet dla gospodarki USA, której produkcja ledwie przekraczała wtedy 200 mld. dol., miały one wesprzeć w ciągu 5-ciu lat 15 krajów Europy Zachodniej dla ratowania jej przed rosnącymi tam szybko wpływami komunistycznymi w związku ze złą i pogarszającą się sytuacją ekonomiczną.

Utworzenie NATO, następny krok Trumana, był **trzecią** z kolei deklaracją "zimnej wojny".

Nie był to pierwotnie pomysł Trumana, gdyż u podłoża narodzin NATO leżały rosnące obawy w Europie Zachodniej przed agresywnością sowiecką, po tym jak 22 lutego 1948 r. komuniści w Czechosłowacji przejęli w pełni władzę drogą bezkrwawego zamach stanu - ale bez jego udziału nic z tych narodzin nie wyszłoby. Obawy spowodowały powołanie do życia 17 marca 1948 r. 5-stronnego Paktu Brukselskiego, sojuszu polityczno-wojskowego, złożonego z Anglii, Francji, Holandii, Belgii i Luksemburga.

Pakt spotkał się z szerokim zainteresowaniem w USA, gdzie demokratyczna Administracja oraz republikański Kongres były zgodne, że nadszedł czas "dobrania się" do ZSRR, a może nawet pozbawienia go wojennych zdobyczy w Europie i Azji.

Kraje Paktu Brukselskiego ze swej strony, zdając sobie sprawę z *niemożności* obrony własnymi siłami przed ewentualną agresją sowiecką, zaczęły "kręcić się" wokół USA dla nakłonienia ich do wspólnej obrony.

Przy aktywnym wsparciu Trumana dla tych wysiłków, Kongres podjął decyzję przystąpienia USA do *zmodyfikowanego* Paktu Brukselskiego, w wyniku czego, 4 kwietnia 1949 r., powstało NATO, Pakt Północnoatlantycki.

Czy doszłoby do powstania NATO, gdyby nie inne wydarzenia, nie jest wcale pewne. Elementem sprzyjającym jego powstaniu stał się niewątpliwie tzw. *krzys berliński*, spowodowany zakazem ZSRR, z 24 czerwca 1948 r., korzystania przez trzy mocarstwa zachodnie z lądowego dostępu do ich stref okupacyjnych w b. stolicy Rzeszy. Prawdę mówiąc, żadnego porozumienia o takim dostępie nigdy nie było, a ZSRR zakaz wydał w odpowiedzi na wprowadzenie w zachodnich strefach okupacyjnych w Niemczech, bez jego wiedzy i zgody, nowej waluty, słynnej wkrótce DM, marki zachodnioniemieckiej, która odcinała gospodarczo te strefy od strefy sowieckiej.

Truman, w odpowiedzi na blokadę lądową, postanowił zaopatrywać Berlin Zachodni z powietrza, co trwało przez 324 dni i czemu ZSRR nie przeszkadzało. Wzajemne jednak stosunki pomiędzy czterema mocarstwami, już bez tego napięte, pogorszyły się do tego stopnia, że zaczęto nawet mówić o *możliwości* wybuchu III wojny światowej.

Nowopowstała sytuacja międzynarodowa, zwłaszcza po tym jak ZSRR eksplodował 29 sierpnia 1949 r. bombę atomową, wymagała jednak bardziej spójnej polityki polityczno-wojskowej NATO. Dokonać tego mogły tylko USA, *jedyne* wówczas mocarstwo nuklearne Sojuszu.

W praktyce nie było to wcale proste zadanie, o wiele bardziej złożone niż wyobrażali to sobie wówczas Polacy, a nawet dzisiaj, po upływie dziesiątków lat od tamtych wydarzeń.

NATO, mimo swoich oficjalnych narodzin, dość długo "zawiazywało się" organizacyjnie. Głównodowodzącego wojsk NATO, amerykańskiego generała, Dwight Eisenhowera, powołano na to stanowisko dopiero 19 grudnia 1950 r., Kwatery Główna Sojuszu, SHAPE, zaczęła działać w Roquencourt pod Paryżem 2 kwietnia 1951 r., a jeszcze ważniejsze od niej Naczelne Dowództwo Sojuszu regionu Atlantyku, SACLANT, zaczęło początki swojego funkcjonowania 30 stycznia 1952 r. W międzyczasie wojska amerykańskie, wówczas główna siła NATO w Europie Zachodniej, pod nieobecność

Bundeswehry, armii francuskiej zaangażowanej w wojnę indochińską oraz angielskiej mocno zredukowanej, powoli napływały zza Oceanu, lokując się głównie w południowej części RFN, naprzeciwko Czechosłowacji, gdzie wojsk sowieckich nie było od grudnia 1945 r. i skąd nie spodziewano się ataku (spodziewano się z północnej części terytorium NRD, na 400-kilometrowym pasie, ale tam wojsk amerykańskich praktycznie nie było).

Wojsk tych zresztą dużo nie napłynęło (w szczytowym momencie "zimnej wojny" było ich 350-360 tysięcy).

Sprawą o wiele ważniejszą było natomiast wyposażenie wojsk NATO, w broń nuklearną zwłaszcza. Do udanej próby z angielską bombą atomową 3 października 1952 r. oraz francuską 13 lutego 1960 r., monopol na broń nuklearną w NATO miały USA, ale z jej rozmieszczaniem w Europie Zachodniej wyraźnie się nie śpieszyły. Do dziś dokładnie nie wiadomo, kiedy amerykańska broń nuklearna "zawitała" do Europy po raz pierwszy, ale przypuszcza się, że dopiero od maja-czerwca 1952 r., kiedy to 40 bombowców B-45 przybyło do Anglii, a w ślad za nimi w 1953 r. (dzień i miesiąc nie są znane) przybyły bomby atomowe. W kontynentalnej Europie Zachodniej zaś, pierwsza amerykańska broń nuklearna, w postaci dział kalibru 280 mm, z pociskami nuklearnymi, pojawiła się w RFN, w październiku 1953 r.

Odtąd dopiero rozpoczął się postęp "nuklearyzacji" NATO w Europie Zachodniej (jego szczyt przypadł na lata 1960-te, kiedy tylko amerykańskiej broni nuklearnej, zaliczając do niej głowice rakiet, bomby grawitacyjne, pociski artyleryjskie oraz miny było ok. 7,2 tys. sztuk, ale wtedy sowieckiej broni nuklearnej było tam prawdopodobnie tyle samo).

Faktem jest jednakże, że coś po powstaniu NATO działało się na odcinku przygotowań do ewentualnej konfrontacji zbrojnej z ZSRR i jego satelitami. USA, które w NATO "grały pierwsze skrzypce", miały na głowie nie tylko wojskową stronę nowopowstałej sytuacji, ale także polityczną, wymagającą pilnych decyzji.

Obowiązek ten spadł na wspomnianą NSC, Radę Bezpieczeństwa Narodowego, która na początku 1950 r. rozpoczęła prace nad tajnym dokumentem (ujrzał światło dzienne dopiero w ćwierć wieku później), którego zadaniem miało być wypracowanie linii postępowania wobec ZSRR. Dokument, opracowany 14 kwietnia 1950 r., nazwany "NSC-68", wychodził z dwóch przesłanek:

- wskutek zwycięstwa w II wojnie światowej obok USA również ZSRR, "globalna równowaga" została zakłócona, a wzajemne interesy obu mocarstw stały się antagonistyczne;

- ZSRR, jako "fanatyczna siła", będzie dążył do dominacji nad konty-

mentem euroazjatyckim.

Po takich stwierdzeniach ogólnych, przyszła kolej na szczegółową linię postępowania wobec ZSRR, która składała się z 7-miu punktów.

Nie wchodząc w szczegóły, linia dyrektywna polityki USA wobec ZSRR zakładała **rezygnację** z jakichkolwiek z nim negocjacji, jeśli nie uda się zmusić go do "drastycznej zmiany" jego polityki. Jednocześnie zapowiadano **znaczące zwiększenie** wysiłku obronnego kraju, łącznie z opanowaniem broni wodnorodowej, a dla wykonania tego zadania proponowano podnieść opodatkowanie ludności.

Tak sformułowane cele "NSC-68", zwłaszcza ze względu na ich tajny charakter, byłyby *trudne* do przeforsowania w Kongresie, gdzie sprawy podatkowe są tradycyjnie najbardziej drażliwe.

Jak zatem potoczyłyby się losy tego doniesłego dokumentu, gdyby 25 czerwca 1950 r. nie doszło do agresji Korei Północnej przeciwko Korei Południowej, w wyniku czego rozpętała się wielka wojna, z udziałem USA pod flagą ONZ - nie jest pewne.

Na skutek nowej sytuacji jednakże, wszystko poszło już teraz po linii rekomendacji "NSC-68", która stała się faktyczną **strategią** "zimnej wojny" USA, choć publicznie nigdy nie obwieszoną. Strategia, następnie uaktualniana, przetrwała wiele dziesiątków lat, do końca "zimnej wojny",

Czy była do uniknięcia? W istniejącej wówczas sytuacji, najprawdopodobniej **nie można** było jej uniknąć. Winę za nią, podchodząc do jej przyczyn obiektywnie, ponosił nie tylko Stalin, ale także Truman, a w pewnym sensie również Churchill. Trzeba jednak pamiętać, że głównym powodem "zimnej wojny" były ustalenia, dokonane przez Stalina i Churchilla w październiku 1944 r. w Moskwie, odnośnie "stref wzajemnych wpływów" w powojennej Europie. Stalin wziął, co wtedy uzgodnił i poza to właściwie nie wychodził, ale też nikomu nie pozwalał się do niej mieszać. Tylko w Grecji jakby słowa nie dotrzymywał, choć bezpośrednio do jej wojny domowej nie mieszał się (czyniła to Jugosławia do 1948 r. oraz częściowo Bułgaria). W pozostałych przypadkach uzgodnionych stref przestrzegał. Wojska sowieckie, które werżnęły się głęboko pod koniec II wojny światowej w Norwegię, wycofały się stamtąd bez problemu, podobnie jak ze zdobytej na Bałtyku duńskiej wyspy Bornholm. Stalin uszanował również niepodległość Finlandii, pod warunkiem jednak zachowania przez nią neutralności. Wpuścił też, choć to przecież jego wojska go zdobyły, trzy mocarstwa zachodnie na terytorium Berlina.

Na zdobytych przez siebie terenach w Europie Wschodniej, Stalin istotnie wyprawiał co chciał, ale w jego pojęciu miał do tego prawo. Błągał prze-

cież w czasie wojny USA i Anglię o "drugi front", który otwarto za późno, co dało mu możliwość dotarcia do Łaby. I była to jego zasługa, a nie wina! - rozumował.

Działal ponadto na obszarze uznanym przez USA i Anglię w czasie wojny za **jego obszar operacyjny**, a to dawało mu nad nim pełną jurysdykcję. Nie kto inny - przypomnijmy - jak USA z Anglią stworzyły w czasie wojny instytucję, zwaną w skrócie AMGOT, której rolą było ustanawianie władz państwowych na zdobywanych przez nie obszarach (nie określano ich "wyzwalanymi" tylko "zdobywanymi"). Jedynie w zdobywanych Niemczech ustalono z góry co komu przypadnie. Wszędzie indziej każdy "łapał" co mógł.

Tym też należy tłumaczyć fakt, że **nie było** większych protestów USA i Anglii w związku z zaprowadzaniem "sowieckich porządków" na zdobywanych terenach. Truman nakrzyczał na Mołotowa, co prawda, za te porządki bez zgody pozostałych dwóch współpartnerów, ale na tym się skończyło (potem, po "wyborach" w styczniu 1947 r. w Polsce, ich sfalszowany wynik przyjął już względnie spokojnie).

Nie było też dowodów, że Stalin zamierzał rozpętywać trzecią wojnę światową tuż po zakończeniu drugiej. Kraj był wyczerpany wojną, Stalin zagarnął i tak więcej niż się tego spodziewał, co zmuszało go do konsolidowania zdobyczy, a broni atomowej dorwał się dopiero późnym latem 1949 r., w cztery lata po USA. Wywiad amerykański oceniał zresztą, że ZSRR do wojny może być gotów dopiero za 15 lat.

Jeśli nawet było to prawdą, to ZSRR zachowywał się tak, jakby *nie obawiał się* wojny. W sprawach niemieckich, o czym świadczyła wspomniana już blokada Berlina, przyjmował nawet postawę wyzywającą. Na utworzenie przez 3 mocarstwa zachodnie RFN 7 września 1949 r., odpowiedział utworzeniem NRD dokładnie w miesiąc później.

"Sprawa niemiecka" zresztą, choć zatruwająca stosunki wzajemne w łonie Wielkiej Czwórki, nie była jednak jedyną, odpowiedzialną za "zimną wojnę" czy inaczej "*napięcie pomiędzy Wschodem a Zachodem*", jak wkrótce zaczęto nazywać stosunki między obu blokami.

Do wzrostu ogólnego napięcia w tych stosunkach należy zaliczyć także proklamowanie komunistycznej Chińskiej Republiki Ludowej 1 października 1949 r., czego skutki, w postaci wybuchu wspomnianej już wojny koreańskiej, dały się wkrótce odczuć. Udział w tej wojnie, po stronie Północnej Korei, "ochotników" chińskich, wsparty niejawnie sowieckim korpusem obrony przeciwpowietrznej, uniemożliwił USA zwycięstwo, co omal nie doprowadziło do III wojny światowej. Było to o tyle prawdopodobne, o czym już dziś coś niecoś wiadomo, że Stalin nosił się z zamiarem *zbrojnej rozprawy* z

Zachodem, w czym jednak przeszkodziła mu jego śmierć 5 marca 1953 r.

Innym, mniej powszechnie znanym powodem napięcia w okresie "zimnej wojny", był "cichy front".

W 1948 r., chociaż oznaki tego istniały już wcześniej, angielskie służby specjalne, a od czerwca tegoż roku także amerykańskie, postanowiły "zamieszać" na sowieckim podwórku, w Europie Wschodniej, dla odwrócenia uwagi Moskwy od innych regionów świata. W tym celu zaczęto nawiązywać kontakt z podziemiem tych krajów, albo go organizować, poprzez przerzucanie na ich obszar dywersantów oraz innych środków niezbędnych dla ruchu oporu. Za teren priorytetowy obrano Albanie, gdzie wojsk sowieckich niemal nie było (jeśli nie liczyć ich niewielkiej jednostki obsługującej kilka rakiet, z głowicami konwencjonalnymi, wycelowanymi we Włochy oraz grupy inżynierjno-saperskiej budującej bazę dla łodzi podwodnych).

Sowieckie służby specjalne oraz ich wschodnioeuropejskie siostry, akcję anglo-amerykańskich służ zachodnich dogłębnie jednak spenetrowały, a następnie całkowicie ją pokrzyżowały.

Co jeszcze było powodem "zimnej wojny"?

Obok tych wspomnianych już powyżej, powodem było *pretendowanie* obu mocarstw do przewodnictwa w świecie. USA pod pretekstem *twierdzy demokracji, filaru "wolnego świata"*, podczas gdy ZSRR *modelu "ustroju przyszłości"*, jakoby nieuchronnie nadciągającego.

Przy takim poczuciu obopólnej "misji dziejowej", USA i ZSRR **musiały** znaleźć się na *kolizyjnym* kursie. Kwestią było tylko czy antagonistyczne stosunki staną się powodem do nowej wojny światowej czy może będą układać się w jakiś inny sposób. Z potencjałem gospodarczym początkowo co najmniej 10-krotnie większym od ZSRR, USA miały niewątpliwie **więcej** szans na zwycięstwo w tym współzawodnictwie. ZSRR jednak, stawiając faktycznie *na zrównanie się* z USA w potencjale wojennym. Później, na początku lat 1960-ch, Chruszczow, obwieszczając przejście od koncepcji "*nieuchronności wojny*" do koncepcji "*pokojowego współzawodnictwa*", zapowiadając przy tej okazji szybkie prześcignięcie USA w potencjale gospodarczym, jakby zwolnił sowiecki wysiłek zbrojeniowy. Po jego upadku jednak, głównie z tego powodu, o chruszczowowskich przechwałkach zapomniano i ZSRR powrócił do **morderczego** wyścigu zbrojeń.

"Zbrojny pokój", rezultat tego wyścigu, faktycznie już od końca II wojny światowej, początkowo szczególnie po stronie sowieckiej, nadał w konsekwencji "zimnej wojnie" wysoce **zmilitaryzowaną** postać, potencjalnie grożącą w *każdej* chwili przerodzeniem się jej w "gorącą", nuklearną III wojnę światową.

Pytanie więc *кто* naprawdę był położnym "zimnej wojny" jest mniej istotne od tego *czym* naprawdę ona była.

Wojna, choć "zimna", w miarę upływu czasu potencjalnie coraz groźniejsza, narodziła się w latach 1945-1949. Jej położnymi byli Stalin i Truman albo odwrotnie, o wiele mniej Churchill, który w czasie swojej fultonowskiej mowy był już tylko osobą prywatną, podczas gdy "sprawa polska" była tylko sygnałem, że *coś* w rodzaju "zimnej wojny" może przyjść na świat.

Powracając do przerwanego tematu, I etap "zimnej wojny" dobiegł końca.

Jeszcze przed śmiercią Stalina, Truman, inna kluczowa postać w "zimnej wojnie", zrezygnował z ubiegania się o nominację na kolejną kadencję prezydencką, w rezultacie czego, w styczniu 1953 r., został zastąpiony na swoim urzędzie przez gen. Dwight Eisenhowera.

"Zmiana warty" w Białym Domu i na Kremlu, zakończyła więc ostatecznie ten etap "zimnej wojny", który, co trzeba podkreślić jeszcze raz, nakreślił jej marszrutę na następne dziesięciolecia.

Ludzkość, w wyniku rozszalałej "zimnej wojny", zdążyła się już podzielić na "komunistyczny Wschód", różnie potem nazywany, najczęściej po prostu "Wschód", na "Zachód", "kapitalistyczny", "imperialistyczny", "demokratyczny" albo "wolny świat", a wreszcie na dryfujący pomiędzy nimi Trzeci Świat, najliczniejszy i najbiedniejszy, nazywany również "biednym Południem" ("bogatą Północą" z kolei, były Zachód i Wschód, z Chinami coraz bardziej uniezależniającymi się od niego).

3. Etap II "zimnej wojny" (1953-1960).

Przejście od I-szego do II-go etapu "zimnej wojny", związane głównie ze śmiercią Stalina, nie jest dokładną datą, ale z pewnymi zastrzeżeniami należy go przyjąć. Nie ulega bowiem wątpliwości, że gdyby Stalin żył, to i tak nowy etap "zimnej wojny" zacząłby się w 1953 r., od objęcia prezydentury w USA przez gen. Eisenhowera, ale jego przebieg byłby najprawdopodobniej **inny** od powszechnie znanego. Odmienny dlatego, że w czasie prezydenckiej kampanii wyborczej w USA, republikański kandydat, gen. Eisenhower, składał szereg oświadczeń, z których wynikało, że "zimna wojna" mogła przejść w "gorącą". Mówił bowiem o "wyzwalaniu narodów" Europy Wschodniej spod sowieckiej dominacji, przyrzekał *nie oddać* Azji komunizmowi oraz doprowadzić do *zwycięskiego* końca zastygłą w impasie wojnę koreańską (już po wyborach, nowy Sekretarz Stanu John Foster Dulles w maju 1953 r., w imieniu nowego prezydenta, Eisenhowera, ostrzegł Moskwę oraz Pekin za po-

średnictwem hinduskiej dyplomacji, że dla jej zwycięskiego zakończenia USA *nie cofną się* przed użyciem broni nuklearnej).

Jak więc zaczęłyby się II etap "zimnej wojny", gdyby żył Stalin, pozostaje sprawą jedynie domysłów.

Nie ulega jednak wątpliwości, że pierwsze oznaki przełamania impasu, w trwających od połowy 1951 r. rozmowach pomiędzy walczącymi stronami w Korei, przysły w marcu 1953 r., ze strony chińskiej, po powrocie premiera Czou En-Laja z Moskwy, gdzie uczestniczył w pogrzebie Stalina. Można więc wysnuć stąd wniosek, że gdyby Stalin nie zmarł, to wojna *trwałaby* dalej. Po jego śmierci jednak, rozmowy o zawieszenie broni potoczyły się szybko i 27 lipca 1953 r., trwająca ponad 3 lata wojna, zakończyła się *remisowym* rozejmem, pierwszą **nie wygraną** wojną w historii USA.

O ile rozejm był wydarzeniem wielce obiecującym dla odprężenia międzynarodowego, o tyle krwawe zamieszki w NRD z czerwca 1953 r., gdzie czołgi sowieckie zmasakrowały cywilnych demonstrantów, mogły mieć odwrotny skutek. Ponieważ jednak wkrótce potem aresztowano Berię, symbol rządów policyjnych, więc Zachód wziął to za "nowy powiew" z Moskwy i względnie umiarkowanie zareagował na wschodniemiecki incydent.

Od tej strony więc, powody do napięć w stosunkach Wschód-Zachód, mające zasadniczy wpływ na przebieg "zimnej wojny", ulegały zelżeniu, ale Eisenhower nadal czekał na jakąś oficjalną "odzywkę" Moskwy, z której możnaby coś wywnioskować o jej dalszych zamiarach.

"Odzywka" taka przysłała 8 sierpnia 1953 r., w przemówieniu premiera Georgija Malenkowa, wygłoszonym na forum Rady Najwyższej ZSRR. Malenkow niedwuznacznie wspominał w nim o "pokoju", a **nie** o "nieuchronności nowej wojny", choć zaraz dodał, że ZSRR przeprowadził właśnie pomyslną próbę z bombą wodorową.

Sygnal Moskwy pod adresem Zachodu był więc *mieszany* i Eisenhower nie bardzo wiedział jak na niego zareagować. Poprzednie bowiem jego próby z 16 kwietnia 1953 r., wkrótce po śmierci Stalina, sygnalizujące Moskwie wstępne warunki odprężenia we wzajemnych stosunkach, pozostawały nadal bez odpowiedzi.

Warunki Eisenhowera szły bardzo daleko. Oczekiwał on od Moskwy wolnych wyborów w *zjednoczonych* Niemczech oraz *zjednoczonej* Korei, wolnych wyborów w *całej* Europie Wschodniej, a wreszcie *przywrócenia* okupowanej Austrii pełnej niepodległości. W przeciwnym przypadku, jak to oświadczył już w dniu następnym Dulles przed Kongresem, USA i cały Zachód wzmogą swoje zbrojenia.

Ten etap "zimnej wojny", aczkolwiek obfitujący nie jeden raz w drama-

tyczne wydarzenia, zaczął mimo wszystko przybierać *bardziej* "odprężeniowy" charakter.

W ZSRR, nowy jego przywódca Nikita Chruszczow od września 1953 r., po tym jak wyłonił się z półrocznych "kolektywnych" rządów, pomimo że nieobliczalny w czynach i niepohamowany w słowach, przyczynił się do *pozytywnych* przemian, zapoczątkowując okres "odwilży" i destalinizacji, co w stosunkach międzynarodowych oznaczało położenie nacisku na wspomniane powyżej "*pokojowe współistnienie*" państw o różnych systemach, co "*nieuchronność wojny*, dotąd akt wiary, zaczęło spychać na dalszy plan.

Nowy kierunek w sowieckiej polityce wewnętrznej i zewnętrznej, choć pełen zakrętów, zaczął trafiać na *podatny* grunt nie tak w USA, jak w pozostałych krajach Zachodu. Jako ciekawostkę można przypomnieć, że Churchill, kiedyś okrzyknięty w Moskwie za "podżegacza wojennego Nr. 1", będąc po raz kolejny premierem brytyjskim w latach 1951-1953, a potem członkiem parlamentu, natychmiast po śmierci Stalina stał się gorącym zwolennikiem szukania *odprężenia* z ZSRR, wywierając w tym kierunku presję na Eisenhowera. Jedynym tylko poważniejszym zgrzytem w postępującym odprężeniu była nasilająca się wojna indochińska, która w efekcie przyniosła Francji klęskę. Formalnie jednak, wyszła ona "z twarzą" z tego konfliktu, poprzez zawarty w Genewie rozejm 21 lipca 1954 r., gdzie ZSRR oraz Chiny zaoszczędziły jej upokorzenia, wychodząc naprzeciw, wbrew Hanoi, wielu jej postulatów.

Nie wszystko jednak rozwijało się pomyślnie. USA, grające w NATO pierwsze skrzypce, były zaniepokojone postępem, do którego zobowiązali się jego zachodnioeuropejscy członkowie, w dziedzinie rozwoju ich sił konwencjonalnych, zgodnie z postanowieniami lizbońskimi z lutego 1952 r. Od początku uważały też, że bez remilitaryzacji Niemiec Zachodnich sił tych nie da się doprowadzić do wymaganego poziomu. O takiej remilitaryzacji, nie mówiąc już o ZSRR, nie chciała jednak słyszeć Francja, wysuwając w końcu kompromisowy projekt utworzenia Europejskiej Wspólnoty Obronnej, w której możnaby znaleźć bezpieczną "półkę" dla RFN. USA ideę poparły, ale w sierpniu 1954 r., wbrew rządowi, została ona stordedowana przez francuskie Zgromadzenie Narodowe. USA zaczęły więc forsować RFN jako kraj w pełni suwerenny, co pozwoliłoby mu wejść do NATO bez pytania nikogo o zgodę. Tak też stało się i trzy zachodnie mocarstwa okupacyjne, podpisując 23 października 1954 r. z RFN tzw. Układy Paryskie, uczyniły ją państwem suwerennym, zapraszając jednocześnie na członka NATO, co zostało sfinalizowane 5 maja 1955 r.

W odpowiedzi na ten krok, 14 maja 1955 r., ZSRR powołał do życia

Układ Warszawski.

Wydarzenia te, aczkolwiek groźne w formie, nie zakłóciły postępującego odprężenia międzynarodowego, a odbyty w lipcu 1955 r. szczyt Wielkiej Czwórki w Genewie, pierwszy tego rodzaju od Poczdamu, był tego dowodem. Szczyt dotyczył głównie "sprawy niemieckiej" i choć nic konkretnego na nim nie osiągnięto, to jednakże sam fakt jego odbycia się oceniano pozytywnie. ZSRR zresztą, wiedząc o zbliżającej się wrześniowej wizycie kanclerza RFN Konrada Adenauera w Moskwie, jak też z pewnością o przewidywanym jej wyniku, z braku postępu w "sprawach niemieckich" w czasie genewskiego szczytu, problemu więc nie robił. Już wkrótce bowiem o "sprawach niemieckich" ZSRR zaczął rozmawiać z samymi Niemcami i to mu zupełnie wystarczało.

Jak to wtedy mówiono - od szczytu Wielkiej Czwórki powiało "duchem Genewy".

Po genewskim, następne szczyty, w różnym składzie, stały się już zwyczajem, niewątpliwa **nowość** w trwającej "zimnej wojnie", niezupełnie idąca po linii wspomnianych w innym miejscu wytycznych NSC-68.

Inną nowością, choć zwiastunem tego były już wcześniejsze wypadki w bloku sowieckim, bezkrwawe w maju 1953 r. w Pilźnie i krwawe w czerwcu tegoż roku w Berlinie Wschodnim, był rozwój sytuacji w Polsce, gdzie doszło do krwawych rozruchów w czerwcu i niekrwawych w październiku 1956 r., w wyniku których do władzy powrócił Władysław Gomułka. Fakt ten, przyjęty przez Zachód z zadowoleniem, wywarł *łagodzący* wpływ na przebieg "zimnej wojny".

Dwa inne wydarzenia z października-listopada 1956 r. jednakże, jedno na Węgrzech, gdzie doszło do krwawej interwencji sowieckiej, a drugie na Bliskim Wschodzie, gdzie doszło do agresji izraelsko-angielsko-francuskiej przeciwko Egipcjom, którego stronę zaczął brać ZSRR, niespodziewanie *zaostrzyły* przebieg "zimnej wojny".

Zaostrzenie sytuacji *nie zamieniło* jednak "zimnej wojny", co najważniejsze, w "gorącą", gdyż nie było już wątpliwości, że rosnący szybko potencjał wojenny ZSRR, zwłaszcza nuklearny, czynił ją praktycznie **niemożliwą** do wygrania przez którąkolwiek ze stron. Umieszczenie przez ZSRR 4 października 1957 r. Sputnika na orbicie okołoziemskiej dramatycznie uzmysłowiło USA oraz ich sojusznikom, że ZSRR wszedł w posiadanie rakiet międzykontynentalnych, a to **radykałnie** zmieniło strategiczny obraz sytuacji w świecie.

Z tych oraz innych powodów, w końcu lat 1950-ch oraz w pierwszych miesiącach 1960 r., "zimna wojna" zaczęła więc jakby słabnąć. Ewentualna

konfrontacja zbrojna pomiędzy Wschodem a Zachodem, ZSRR a USA głównie, zaczęła się komplikować.

Raptem jednak, "zimna wojna" znów zaostriżyła się niebezpiecznie. Powodem było zestrzelenie 1 maja 1960 r. w ZSRR amerykańskiego samolotu szpiegowskiego U-2 oraz wzięcie do niewoli pilota, czego nie podano do wiadomości. Incydent przypadł akurat na moment zbierającego się w Paryżu, po prawie 5-letniej przerwie, szczytu Wielkiej Czwórki. Tuż przed jego oficjalnym otwarciem, zagadnięty przez Chruszczowa na temat incydentu Eisenhower, przedstawił go niezgodnie z prawdą. Chruszczow, zarzucając mu kłamstwo, ujawnił jego szczegóły, wyraźnie zaskakujące Eisenhowera, wywołał awanturę, wskutek czego szczyt został zerwany, a "zimna wojna" otrzymała *nieoczekiwane* nowy bodziec.

I na tym incydencie II etap "zimnej wojny" dobiegł końca.

4. Etap III (1961-1975).

Początek trzeciego etapu "zimnej wojny", podobnie jak koniec drugiego, nie był obiecujący dla dalszego jej przebiegu. Dziś, kiedy już wiadomo jak potoczyły się sprawy, różne dramatyczne epizody z tego okresu nie robią większego wrażenia, ale wówczas były obawy, że "zimna wojna" może przejść *nagle* w "gorącą" III wojnę światową.

Po paryskim incydencie, który zatruł atmosferę międzynarodową, przysłała seria następnych.

Zaczął się od nieudanego, nieoficjalnie wspieranego przez USA, desantu morskiego antycastrowskich Kubańczyków, przygotowanego na Florydzie i przeprowadzonego 17 kwietnia 1961 r. w Zatoce Świń na Kubie. Desant został zniszczony, amerykańska w nim rola ujawniona, w efekcie czego, Kuba, zbliżająca się wówczas do "wspólnoty socjalistycznej", nasiliła ten proces, co z kolei zaczęło wywoływać groźne w skutkach zniecierpliwienie USA.

Uwaga świata została jednak chwilowo odwrócona od Kuby, gdyż przykuł ją kolejny incydent, zaostriżający *gwałtownie* napięcie międzynarodowe, którym było nagłe wzniesienie 13 sierpnia 1961 r. w nocy "muru berlińskiego". Powodem tego kroku, formalnie podjętego przez NRD, a faktycznie przez ZSRR, miało być położenie kresu permanentnym ucieczkom jej obywateli do zachodnich stref okupacyjnych w Berlinie, do których dostęp nie był dotąd zakazany. Naprawdę jednak, sprawa była bardziej złożona. Chruszczow domagał się bowiem coraz głośniejszego ostatecznego uregulowania "sprawy niemieckiej". W czasie wiedeńskiego spotkania w czerwcu 1961 r. z prezyden-

tem Kennedym, groził, w przypadku jej nie rozwiązania, zawarciem separatystycznego traktatu pokojowego z NRD oraz likwidacją zachodnich stref okupacyjnych w Berlinie. Straszyl nawet *wojną*, jeśli ktoś próbowałby mu w tym przeszkodzić.

I w takim stanie rzeczy doszło do wzniesienia "muru berlińskiego". Władze wojskowe zachodnich stref miasta, w międzyczasie wzmocnione przybyłymi posiłkami, próbowały obalenia muru, ale czołgi sowieckie stanęły temu na przeszkodzie. Sytuacja zaczęła być **groźna** w przypadku jej szybkiego nie zażegnania. Wkrótce jednak, stojące naprzeciw siebie w pobliżu muru sowieckie i amerykańskie czołgi, z działami gotowymi do strzału wycofano i kryzys przycichł.

Nowym elementem w "zimnej wojnie", stały się następnie sowieckie sukcesy w Kosmosie, z umieszczeniem na orbicie okołozemskiej pierwszego w historii człowieka, majora Jurija Gagarina, co niezależnie od niebywałego wzrostu prestiżu ZSRR w świecie, świadczyło o *poważnych* postępach w jego technice raketowej. Zapowiedź, w tej sytuacji, prezydenta Kennedy'ego w Kongresie 25 maja 1961 r., że przed upływem dziesięciolecia Amerykanie pierwsi wylądują na Księżycu, mało kto brał wtedy poważnie (USA, jak wiadomo, kosztem ok. 100 mld. dol., licząc według obecnych cen, celu jednak dopięły).

Spektakularną, choć chwilową, przewagę w Kosmosie, ZSRR zaczął w międzyczasie wykorzystywać w swojej "ofensywie pokojowej", przeplatanej *pogrózkami* wojennymi pod adresem Zachodu.

Nieoczekiwanie, "zimna wojna" uległa *nagle* gwałtownemu zaostreniu się, grożąc jak **nigdy** dotąd, wybuchem "gorącej" wojny światowej.

Bezpośrednim powodem tego była niezwykle groźna w skutkach próba ZSRR umieszczenia na Kubie 66 rakiet średniego i krótszego zasięgu z głowicami nuklearnymi, 48 bombowców, stworzenia bazy dla nuklearnych łodzi podwodnych oraz stacjonowania na jej terytorium ok. 23-tysięcznego kontyngentu wojskowego.

Co pchnęło ZSRR do tego kroku - do dziś nie bardzo wiadomo. Niektóre źródła uważają, że w czasie wiedeńskiego szczytu Kennedy-Chruszczow z czerwca 1961 r., miano uzgodnić, że oba kraje osiągną *paritet* w broni nuklearnej, co dałoby im pewność, że nie zaatakują się wzajemnie. USA, mające wtedy wielką jeszcze przewagę nad ZSRR w dziedzinie nuklearnej, szły więc na daleko idące ustępstwo. Potem jednak, zaczęły mówić o *kontynuowaniu* istniejącej przewagi nad ZSRR, co zaniepokojony Chruszczow, najprawdopodobniej, postanowił *zneutralizować* instalacją sowieckich rakiet z głowicami nuklearnymi na Kubie, w pobliżu USA.

Czy to istotnie było powodem tego kroku, czy fakt posiadania od lat przez USA ok. 200 baz lotniczych w pobliżu ZSRR, których on z kolei u granic USA nie posiadał - pozostaje w sferze domysłów.

Sowieckie zamiary, w każdym razie, zostały wykryte przez amerykańskie samoloty wywiadowcze U-2, co początkowo pokrywano milczeniem. W momencie jednak, kiedy instalowane rakiety zaczęły osiągać zdolność operacyjną, rozpętała się burza, grożąca w dniach 22 października - 2 listopada 1962 r. **autentycznie** III wojną światową. USA chciały bowiem z zaskoczenia zbombardować instalowane obiekty sowieckie (wówczas nie wiadomo jeszcze, że część instalowanych rakiet *osiągnęła* już zdolność operacyjną). Dramatyzm sytuacji pogłębiał dodatkowo fakt, że wszystkie oficjalne kontakty pomiędzy ZSRR i USA *ustaly* w tym czasie, ograniczając się tylko do kontaktów pomiędzy ich wywiadami.

Kryzys w końcu zażegnano, zmuszając formalnie ZSRR do zrezygnowania z zamiaru zamiany Kuby na swoją bazę wojenną, ale odpowiednie porozumienie w tej sprawie, w przeciwieństwie do jego amerykańskiej interpretacji, nie było jego całkowitą porażką. ZSRR *wymusił* bowiem na USA zabranie ich rakiet średniego zasięgu "Thor" i "Jupiter" z Turcji, Włoch oraz Anglii, a ponadto uzyskał podobno ich zobowiązanie do nie atakowania Kuby.

Na marginesie "kryzysu kubańskiego" ujawniła się jednak inna strona trwającej "zimnej wojny", a mianowicie powstanie całkowitego **impasu** w stosunkach amerykańsko-sowieckich. USA, które w tym czasie miały w broni nuklearnej olbrzymią przewagę nad ZSRR, wojny z nim **nie chciały** ryzykować, obawiając się olbrzymich strat nawet w przypadku zwycięstwa. Tego rodzaju podejście było rezultatem mało znanego do dnia dzisiejszego "*Kryterium Kennedy'ego*" (*Kennedy Criterion*), w myśl którego USA **nie powinny** ryzykować wojny nuklearnej, jeśli w jej wyniku miałyby ponieść "*szkody nie do zaakceptowania*" (*unacceptable damage*) w ludności cywilnej i majątku narodowym.

Zamiast więc koncentrować swoje wysiłki jedynie na przygotowaniach do ewentualnej wojny nuklearnej, aczkolwiek nadal rozważano możliwość prowadzenia "*ograniczonej wojny strategicznej*", USA, które już w latach 1960-ch uznały, iż poziom ich zbrojeń nuklearnych zaczął osiągać "*dostateczny*" (*sufficient*) poziom, wymagający co najwyżej jego modernizacji, podjęły szereg dyplomatycznych inicjatyw, mających na celu **zwolnienie** gwałtownego tempa rozwoju sowieckich sił strategicznych.

Po tym więc jak porozumienie USA-ZSRR z 1 grudnia 1959 r., do którego następnie przyłączyło się jeszcze 11 państw, o umiędzynarodowieniu i demilitaryzacji Antarktydy, zaczęło działać zgodnie z jego literą, wchodząc

w życie 23 czerwca 1961 r., kolej przyszła na następne.

Pierwszym z serii, bez porównania ważniejszym od powyższego, rezultat wstępnych uzgodnień wiedeńskiego szczytu Kennedy-Chruszczow z czerwca 1961 r., było *trójstronne porozumienie* z 10 października 1963 r., zawarte pomiędzy USA, ZSRR i Anglią, z czasem rozszerzane na inne kraje, o *zakazie* prób z bronią nuklearną w atmosferze, w przestrzeni kosmicznej oraz pod wodą.

Znaczenie tego porozumienia było o tyle ważne, że bez intensywnych prób z bronią nuklearną jej rozwój był przy ówczesnym stanie nauki i techniki wysoce utrudniony, a ZSRR przed podpisaniem porozumienia prowadził próby na skalę dotąd nieznaną (30 października 1961 r. eksplodował w atmosferze 58-megatonowy ładunek nuklearny, ekwiwalent 58 mln. ton trotylu, jak dotąd **największy** w historii; największy amerykański ładunek nuklearny, eksplodowany 28 lutego 1954 r., był rzędu "tylko" 15 megaton).

Drugim, z 10 października 1967 r., było porozumienie USA-ZSRR, którego sygnatariuszami stawały się też z czasem inne kraje, o *zakazie* umieszczania broni masowej zagłady w kosmosie.

Trzecim, do dziś najważniejszym, był trójstronny Układ o *nierozprzestrzenianiu* broni nuklearnej, w angielskim skrócie zwany NPT, podpisany w Moskwie 1 lipca 1968 r. przez USA, ZSRR i Anglię. Układ ten, po wejściu w życie 5 marca 1970 r., objął wraz z upływem czasu, większość krajów świata (11 maja 1995 r. został bezterminowo przedłużony, obejmując aktualnie 189 krajów).

Inicjatorzy NPT, wówczas trzy największe potęgi nuklearne, nie zobowiązali się do eliminacji broni nuklearnej ze swojego arsenału, co prawda, ale zobowiązali się **nie ułatwiać** innym krajom wejścia w jej posiadanie. Na ile układ faktycznie przeszkodził rozprzestrzenianiu się broni nuklearnej po świecie - jest trudne do stwierdzenia. Po jego zawarciu bowiem, co najmniej **4-5 krajów** stało się jej posiadaczami.

Jakaś ograniczona kontrola nad rozprzestrzenianiem się broni nuklearnej w świecie została, mimo wszystko, formalnie stworzona.

Czwartym porozumieniem, z 18 maja 1972 r., również trójstronnym, zawartym pomiędzy USA, ZSRR i Anglią, rozszerzonym następnie na inne kraje, było porozumienie o zakazie umieszczania broni masowej zagłady na dnie morskim w odległości poniżej 12 mil morskich od brzegu.

Powyższe porozumienia i układy były niewątpliwie jakimś krokiem w kierunku osłabiania niektórych aspektów "zimnej wojny", ale daleko **nie wystarczały** dla zapobieżenia nagłemu przejściu jej w stan "gorącej wojny".

Ich efektem ubocznym zaś był fakt, że USA i ZSRR, od początku lat

1960-ch coraz częściej zwane "supermocarstwami", ze względu na ich zdolność prowadzenia wojny z całym światem, mimo że do końca lat 1970-ch nie istniał między nimi tzw. parytet strategiczny, zaczęły coraz częściej prowadzić dialog **wyłącznie** między sobą. W konsekwencji zaczął się rodzić "*dwubiegunowy świat*", "*amerykańsko-sowieckie condominium*", które wcale nie było po myśli niektórych innych mocarstw.

Po jego stronie *zachodniej* na przykład, RFN i Francja nie kryły swojego niezadowolenia, że USA zaproponowały ZSRR w sierpniu 1961 r. rozpoczęcie jedynie *dwustronnych* rozmów w sprawie Berlina. Francja była dodatkowo zirytowana, że jej propozycje z sierpnia 1961 r. oraz stycznia 1962 r., o stworzeniu w ramach NATO "wspólnego dyrektoriatu" ds. spraw strategii wojennej, zostały przez USA odrzucone. Utwierdziło ją to tylko w przekonaniu, że w sprawach obronnych musi iść *własną* drogą (znalazło to swój wyraz w jej wystąpieniu w marcu 1966 r. z tzw. wojskowej struktury NATO, co nie uległo zmianie do dnia dzisiejszego oraz w utworzeniu własnych nuklearnych "sił uderzeniowych"). Apel prezydenta Kennedy'ego z 4 lipca 1962 r. pod adresem Europy Zachodniej z kolei, żeby wydać wspólną "Deklarację Współzależności" (Declaration of Interdependence), Francja zbyła milczeniem.

Międzymocarstwowe stosunki w ramach NATO nie ograniczały się tylko do nieporozumień amerykańsko-francuskich. Szczególnie ściśle więzy amerykańsko-angielskie, z winy USA, też zostały wystawione na próbę. USA bowiem, raptem wymówiły Anglii współpracę w ramach programu zbudowania strategicznej rakiety powietrze-ziemia "Skybolt". Niezadowolenie Anglii z zerwania współpracy, USA załagodziły propozycją sprzedaży nuklearnych łodzi podwodnych oraz współpracą przy ich uzbrojeniu, na co, nie mając innego wyjścia, musiała się zgodzić. Francji nawet tego rodzaju upokarzających propozycji USA nigdy nie przedłożyły.

Bardziej skomplikowaną sprawą stały się natomiast stosunki wojskowe USA-RFN.

RFN, pod naciskiem pozostałych trzech mocarstw zachodnich, wyrzekła się broni nuklearnej, ale z czasem zaczęła szukać do niej dostępu. USA zaproponowały jej w związku z tym wyposażenie Bundeswehry w 72 rakiety krótszego zasięgu Pershing I z głowicami nuklearnymi, ale pod tzw. podwójnym kluczem (ich odpalenie było niemożliwe bez amerykańskiej zgody).

Po stronie *wschodniej* natomiast, zaczęły się z bloku wyłamywać Chiny, od 1964 r. mocarstwo nuklearne, które poszły własną drogą, podobnie jak Albania oraz w znacznym stopniu Rumunia.

Wszystkie te rozdzwięki i wyłomy po obu stronach **nie zapobiegły** po-

działowi świata na *dwa bieguny*, których główni reprezentanci, USA i ZSRR, stanęli w obliczu nowych wyzwań. Nie chcąc iść na rozprawę zbrojną w sytuacji pogłębiającego się "impasu nuklearnego", uznały za konieczne szukanie wyjścia z niego drogą **pogłębienia** rozpoczętego pomiędzy nimi dialogu.

Osią tego pogłębionego dialogu, podobnie jak dotąd, stało się poszukiwanie dróg kontroli w nabierającym na sile wyścigu zbrojeń, zwłaszcza w dziedzinie *broni nuklearnej*, jego siły napędowej.

Jak dalece było to prawdą, wybiegając w przyszłość, niech świadczy fakt, że tylko USA, a najprawdopodobniej ZSRR nie pozostawał pod tym względem daleko w tyle, na rozwój broni nuklearnej wydatkowały do dnia dzisiejszego *ok. 400 mld. dol.*, a na środki jej przenoszenia, od bombowców oraz strategicznych łodzi podwodnych zaczynając, a na różnego rodzaju rakietach kończąc, sumę *5 bln. dol.*, ponad **12-krotnie** większą.

Tak monstrualnie rozdęte wydatki, a do nich dochodziły jeszcze wielokrotnie wyższe na siły konwencjonalne, niepomierne rozbudowane w związku z "zimną wojną", wymagały znalezienia dla nich jakiegoś *hamulca* i to nie tylko ze względów ekonomicznych. Im więcej bowiem było w świecie broni - tym większe było niebezpieczeństwo wybuchu nowej wojny światowej.

USA, wraz z pozostałymi krajami NATO, na względnie miały jeszcze inny aspekt "nuklearnego impasu". Mając początkowo olbrzymią przewagę w broni nuklearnej, USA oraz ich sojusznicy w NATO nie ukrywali, że w przypadku agresji wojsk bloku sowieckiego przeciwko Europie Zachodniej, mających przewagę w siłach konwencjonalnych, będzie ona odparta "zmasowanym odwetowym uderzeniem nuklearnym". Chruszczow jednakże, 14 stycznia 1960 r., ogłosił "nową doktrynę wojenną ZSRR", z której wynikało, że również i on mógł sięgnąć do broni nuklearnej już w początkowej fazie wojny.

W USA zapanowała konsternacja, a kiedy wraz z upływem czasu stało się oczywiste, że ZSRR broni nuklearnej ma coraz więcej, wówczas NATO, w grudniu 1960 r., przyjęło nową "koncepcję strategiczną", z której wynikało, że zamiast "zmasowanego odwetu" (massive retaliation) w odpowiedzi na sowiecką agresję byłaby teraz "elastyczna odpowiedź" (flexible response). Miało to ewentualnie *odwieść* ZSRR od sięgania do broni nuklearnej już na początku agresji.

Tego rodzaju "aluzje" daleko nie wystarczały i należało zastanowić się *co* czynić w zmieniającej się sytuacji.

Ze względów oczywistych, należało najpierw *powstrzymać* morderczy wyścig zbrojeń, przede wszystkim sowieckich, zwłaszcza strategicznych, czyli nuklearnych.

Z inicjatywy USA głównie, oba supermocarstwa po konsultacjach wstępnych, postanowiły **ograniczyć** wyścig zbrojeń strategicznych, co doprowadziło, po 4-ch latach negocjacji, do zawarcia 26 maja 1972 r. w Moskwie, w wyniku szczytu Nixon-Breżniew, tzw. porozumienia SALT I, z mocą obowiązującą na 5 lat, które weszło w życie 3 października tegoż roku.

Naciski USA na porozumienie SALT I wynikało stąd, że według ich oceny ZSRR, który jeszcze w w połowie 1966 r. miał 250 rakiet międzykontynentalnych, w angielskim skrócie zwanych ICBM, we wrześniu 1969 r. miał ich już 1.060, zdobywając w nich ilościową **przewagę** nad amerykańskimi raketami tej klasy. Na koniec 1970 r. USA szacowały ilość sowieckich ICBM już na 1.300, ale faktycznie było ich 1.440.

Zaniepokojone postępowaniem ZSRR w dziedzinie ICBM, USA chciały więc ustalić, obowiązującą obie strony, jakiś *górnny limit* dla tej klasy rakiet (sytuacja w raketach międzykontynentalnych na pokładach nuklearnych łodzi podwodnych, zwanych w angielskim skrócie SLBM, była nie mniej dramatyczna, gdyż ZSRR zwiększył ich ilość z 45 we wrześniu 1968 r. do ponad 900 w 1975 r.).

USA, ustalając z ZSRR wspomniany *górnny limit* dla ICBM oraz SLBM, polegający na *zamrożeniu* ich aktualnego poziomu, miały nadzieję powstrzymać jego postępy na tym polu. W efekcie tego USA zamroziły ilość swoich ICBM na poziomie 1.054 oraz SLBM na poziomie 656, podczas gdy ZSRR na poziomie 1.618 i 740 (początkowo nie oznaczało to postawienia się przez USA w gorszej sytuacji strategicznej, gdyż w tym czasie ich ICBM i SLBM stawały się raketami wielogłowicowymi, podczas gdy sowieckie jeszcze nie, co w końcowym rachunku zachowywało amerykańską przewagę strategiczną, ale z czasem, gdy ZSRR opanował zbrojenie rakiet w wiele głowic, przewaga zaczęła być, zwłaszcza w ICBM, po jego stronie).

Po SALT I, 18 czerwca 1979 r., przyszło następne porozumienie, SALT II, podpisane w wyniku wiedeńskiego szczytu Carter-Breżniew (porozumienia tego nie ratyfikował jednak amerykański Senat, aczkolwiek strony zapewniały się wzajemnie o przestrzeganiu jego klauzuli).

Tym razem jednak, porozumienie było bardziej skomplikowane. ZSRR bowiem, tuż po podpisaniu SALT I, zaczął bardzo szybko przezbierać swoje ICBM w wielogłowicowe, najpierw 3, potem 6, a wreszcie 10-głowicowe, w zależności od ich typu. A ponieważ miał ich więcej niż USA i potężniejszych, więc ustalenie *górnego limitu* dla ICBM w SALT II okazało się teraz niezwykle trudne. W końcu ustalono, że limity te obejmą jedynie tzw. platformy, czyli *środki przenoszenia* głowic nuklearnych. Za "platformę" uznano raketę oraz bombowiec, których dopuszczalna ilość po każdej stronie miała

wynosić po 2.400, z **zastrzeżeniem** jednak, że ilość rakiet wielogłowicowych nie przekroczy 1.320 po każdej stronie.

Pozostawiając na uboczu szereg szczegółów wojskowo-technicznych SALT II, jedno można powiedzieć, że **nikt** nie jest w stanie stwierdzić na ile to porozumienie, podobnie jak SALT II, ograniczyło omawiany wyścig zbrojeń strategicznych obu supermocarstw, zwłaszcza sowieckich.

W okresie 1972-1980 bowiem, ilość amerykańskich głowic strategicznych wzrosła o 70 procent, a w okresie 1981-1988 o dalsze 22 procent, podczas gdy ilość sowieckich głowic wzrosła odpowiednio o 324 procent i 46 procent!

Wyjaśnienie tych dwóch *przeciwstawnych* sobie tendencji, gdzie z jednej strony chciano ustalić jakiś *górnny limit* w wyścigu zbrojeń strategicznych, a z drugiej praktycznymi działaniami osiągnięte uzgodnienia łamano rozbudowywaniem arsenału strategicznego, nie jest proste.

Ogólnie jednak wiadomo, że oba supermocarstwa, unikając konfrontacji zbrojnej, przygotowywały się jednak *nieustannie* do niej, w efekcie czego ich arsenał strategiczny, obchodząc wzajemne uzgodnienia, wzrastał. U podstaw tego wzrostu leżały względy czysto wojskowe.

Tak na przykład, w latach 1960-ch w USA obliczono, że dla zadania ZSRR "*strat nie do tolerowania*", konieczne jest uśmiercenie 1/4 jego ludności oraz zniszczenie 1/2 przemysłu. Dla tego celu konieczne było co najmniej 400 ładunków nuklearnych o mocy wybuchowej 1 megatony każdy. Dla wszelkiej pewności jednak, każdy cel należało "obłóżyć" co najmniej 2-oma ładunkami, a uwzględniając różne niespodzianki, ilość ich powinna wynieść nie mniej niż 1.100 (w 1968 r. postulowano nawet 2.600).

Ilości te nie zadawały strategów wojskowych, którzy listę celów do rażenia bez przerwy wydłużali, zwłaszcza że w sukurs im przyszły *wielogłowicowe* rakiety, które po obu stronach zaczęły wchodzić do uzbrojenia, w rezultacie czego "wytypowali" do rażenia aż 5-5,5 tys. celów, które, dla wszelkiej pewności, wymagały *podwojenia* ilości rażących je ładunków.

W ten sposób, obie strony, gdyż tajemnice w tym względzie jakoś nie miały długiego żywota, uznały za konieczne wyposażenie swoich sił strategicznych w ilość co najmniej **10-11 tysięcy** ładunków strategicznych, przede wszystkim głowic zainstalowanych na raketach międzykontynentalnych.

U szczytu "zimnej wojny" oba supermocarstwa **osiągnęły** ten poziom, a nawet go przekroczyły.

Były to ilości koszmarnie, biorąc pod uwagę fakt, że dziś uważa się, jak to udowadnia rosyjski gen. Władimir Biełous, iż dla uczynienia USA krajem niezdolnym do funkcjonowania wystarczy *jedynie* 25 trafiających precyzyj-

nie w cel głowic nuklearnych!

Koszmarne były też dlatego, że gdyby tak monstrualna ilość ładunków nuklearnych eksplodowała, to jak to obliczali niektórzy uczeni, jak amerykański Carl Sagan, zanieczyszczenie atmosfery pyłami, popiołami i dymami utrudniłoby przenikanie promieni słonecznych, rezultatem czego Ziemia pograżałaby się w "nuklearnej zimie", likwidującej roślinność żywych organizmów, a może nawet życie.

Nie to było jednak zmartwieniem strategów i ekspertów wojskowych, ale **jak** obronić się przed atakiem nuklearnym. Dokąd mógł on nastąpić w wyniku nalotu samolotów dalekiego zasięgu z bombami grawitacyjnymi na pokładzie, obrona, w swojej istocie przeciwlotnicza, nie była problemem nie do rozwiązania. Sprawy zaczęły się komplikować w miarę pojawiania się rakiet balistycznych, a także rakiet "powietrze-ziemia", wystrzeliwanych z samolotów w dużym oddaleniu od celu.

Powstał więc problem *antyrakietowej* obrony, który natychmiast spowodował **impas** już przy pierwszych próbach jego rozwiązania przez oba supermocarstwa.

Przyczyn impasu było wiele, ale główną było pojawienie się "*strategicznego błędnego koła*", z którego **nie było** rozsądnego wyjścia dla żadnej ze stron.

Teoretycznie, niespodziewany napad raketowo-nuklearny, stwarzający możliwość pokonania przeciwnika, oddalonego nawet o tysiące kilometrów, w ciągu *niecałej* godziny, mógł zachęcać do korzystania z tak "historycznej okazji".

W praktyce jednak, sprawa była bardziej skomplikowana. Atak z zaskoczenia **nie gwarantował** bowiem pozbawienia przeciwnika możliwości nokautującego odwetu. Mając duży obszar, z raketami w umocnionych silosach, na pokładach nuklearnych łodzi podwodnych oraz na pokładach samolotów w powietrzu, "*supermocarstwowy przeciwnik*", nawet zachowując 5 procent swojego strategicznego potencjału, czyli ok. 500-600 głowic, mógł odwetowym uderzeniem *zmięść* napastnika z powierzchni ziemi..

Istniejącą "*równowagę terroru*", w swojej naturze przejściową, ale wówczas najbardziej aktualną, oba supermocarstwa starały się ku obopólnej zgodzie jakoś rozwiązać, aby wydobyć się ze wspomnianego "*błędnego koła strategicznego*", ale od razu stanęły w obliczu przeszkód nie do pokonania, popadając w kolejny impas.

Obrona antyrakietowa, która impas ten mogła częściowo lub całkowicie rozwiązać, okazała się wówczas **niemożliwa** ze względów technicznych (jak zresztą i na późniejszych etapach "zimnej wojny"). Można było atakować

bronią nuklearną, ale obrona przed nią była wykluczona. Wynikało to z *niemożności* zniszczenia środkami konwencjonalnymi głowicy nuklearnej w locie, schodzącej do celu, z wysokości 80-90 kilometrów, z szybkością 5,5 kilometra na sekundę (5-6-krotnie większą od szybkości początkowej kuli karabinowej).

Oba supermocarstwa zatem, dla zahamowania dalszego wzrostu strategicznej *broni ofensywnej*, ICBM, nie dyskutując już na ile cel ten osiągnęły, zrezygnowały jednocześnie z obrony antyrakietowej, *broni defensywnej*, dla **zachowania** koniecznej, rzecz paradoksalna, "równowagi terroru", która zniechęcałaby strony zarówno do dalszego wyścigu zbrojeń strategicznych, jak również do agresji.

Przy okazji podpisywania SALT I, podpisano więc także inne porozumienie, o *obronie antyrakietowej*, zwane w angielskim skrócie ABM, które, wraz z podpisaniem dodatkowego do niego protokołu z 3 lipca 1974 r., weszło natychmiast w życie (ze względu na jego *beztęminowość* z mocą obowiązującą do dnia dzisiejszego).

Porozumienie, zezwalające na maksymalne zainstalowanie po 16 *lokalnych* systemów obrony antyrakietowej dla każdej strony, jednocześnie **zakazując** kategorycznie *ogólnokrajowego* systemu takiej obrony, miało początkowo mieć po 2 takie systemy po każdej stronie.

USA zrezygnowały ze swojego "przydziału" takiej obrony, nie próbując nawet jej tworzyć wokół Waszyngtonu, a istniejącą krótko w Grand Forks w Północnej Dakocie rozmontowały.

ZSRR natomiast wykorzystał swój "przydział" jedynie wokół Moskwy, po tym jak zarzucił pomysł obrony również Leningradu.

Założeniem porozumienia ABM - powtarzając to jeszcze raz - było **odstraszenie** potencjalnego agresora od zamiaru napadu nuklearnego.

Oba kraje-sygnatariusze ABM, tworząc świadomie "*równowagę terroru nuklearnego*", uznały więc rozwiązanie to za **jedynie** rozsądne w sytuacji kompletnego impasu w dziedzinie strategicznej.

Zaistniała sytuacja była **nowym** zjawiskiem w historii. Zawsze bowiem było tak, że pojawiające się na przestrzeni dziejów nowe bronie - nie stwarzały sytuacji absolutnej *bezradności* w ich obliczu. Broń była *zawsze* obosieczna i chcąc tym razem było podobnie, to jednak jej moc niszczenia stała się tak wielka, że **nie nadawała się** ona do walki, ale tylko do *straszenia* przeciwnika! Chyba, że przeciwnik nie byłby w jej posiadaniu i na napad nuklearny nie mógłby odpowiedzieć odwetem nuklearnym.

Paradoksalnie więc, oba supermocarstwa, próbując wyjść z *nuklearnego impasu* zawieraniem wzajemnych porozumień, doszły w końcu do **połączenia**

biającego ten impas porozumienia ABM!

Impas zmusił też oba supermocarstwa, do precyzyjnego ustalenia różnych „reguł gry” w stosunkach między sobą, maksymalnie eliminujących możliwość bądź to przypadkowego wybuchu wojny bądź napadu nuklearnego z zaskoczenia.

Po złych doświadczeniach kryzysu kubańskiego, kiedy to kontakt pomiędzy obu supermocarstwami, poza ich wywiadami, praktycznie nie istniał, teraz postanowiono nie dopuścić do powtórzenia się tej sytuacji. W wyniku tego USA i ZSRR podpisały 20 czerwca 1963 r. porozumienie odnośnie zainstalowania „gorącej linii”, „hot line”, ustanawiającej bezpośrednią więź telefoniczną pomiędzy Białym Domem a Kremlm. Porozumienie, 30 września 1971 r., uzupełniono nowym, ustanawiającym łączność satelitarną. W tym samym dniu podpisano jeszcze inne, o wiele ważniejsze porozumienie, ograniczające możliwość *przypadkowego* wybuchu wojny (przewidywało ono różne drobniagowe rygory zachowania się sił zbrojnych obu krajów, zwłaszcza jednostek pływających, znajdujących się w pobliżu siebie).

W praktyce jednak, nic nie ujmując stronom z ich dobrych intencji, „reguły gry” oznaczały intensywne *podpatrywanie* potencjalnego przeciwnika, od tradycyjnego szpiegostwa zaczynając, poprzez satelitarną i radarową obserwację przeciwnego terytorium, a na wzajemnym podsłuchiowaniu się oraz nasłuchiowaniu kończąc (jeszcze dziś ponad 300 amerykańskich satelitów oraz ok. 200 rosyjskich podpatruje i podsłuchuje z orbity okołoziemskiej wszystko co interesuje oba supermocarstwa).

„Reguły gry” **nic jednak** nie zmieniły, co należy podkreślić, w sytuacji istnienia *ciągłego* pogotowia bojowego po obu stronach.

NATO, USA w szczególności, były też zaskoczone *wybiórczym* stosowaniem tych „reguł” przez ZSRR. O zamiarze swojej intencji inwazji Czechosłowacji w dniach 20-21 sierpnia 1968 r., ZSRR nie tylko nie uprzedził „gorącą linią” Waszyngtonu, ale jeszcze *zagłuszył* systemy obserwacyjne NATO, które ruchu jego wojsk **nie zauważyły** aż do wejścia ich do Pragi. Niespodzianka była tym większa, że 5-7 dywizji wojsk sowieckich, które weszły do Czechosłowacji, rozlokowując się naprzeciw wojsk amerykańskich w RFN, wyposażone były w broń nuklearną, likwidując w ten sposób *niekorzystną* dla ZSRR „lukę nuklearną” w tym miejscu Europy.

Strony, co gorsza, ZSRR głównie, stosowały gdzie tylko mogły „strategiczne oszustwo”, „strategiczekij obman”, „strategic deception”, podkopując tym samym wiarę w ich dobre intencje. Ponadto, USA nigdy nie były pewne *rozmiarów* sowieckiego arsenału nuklearnego. ZSRR **żadnych** danych w tej dziedzinie nie publikował. Nigdy też **nie dawał** ich z góry w trakcie

rozpoczynania nuklearnych rozmów rozbrojeniowych z USA. W tej sytuacji USA przedkładały własne dane na temat tego arsenału, które, po jakimś czasie i wniesieniu własnych poprawek, ZSRR przyjmował lub nie za podstawę do dalszych rozmów. Nadal jednak **nie było** pewne na ile przyjęta do negocjacji podstawa wyjściowa odpowiadała rzeczywistości.

Poszukiwania wojskowych oraz niewojskowych dróg odprężenia w stosunkach USA-ZSRR trwały jednak, głównie z inicjatywy prezydenta Richarda Nixona, który odbył w krótkim czasie aż trzy spotkania z sowieckim przywódcą Leonidem Breżniewem. Spotkania te dały szereg **pozytywnych** wyników, rozpoczynając okres *détente* pomiędzy obu supermocarstwami, zwłaszcza że z wojny w Indochinach USA wycofały się wkrótce po podpisaniu tzw. porozumienia paryskiego ze stycznia 1973 r., podczas gdy „sprawa niemiecka”, w wyniku wzajemnego uznania się obu państw niemieckich i wejściu ich do ONZ we wrześniu 1973 r., straciła na ostrości. Zapomniano też o „incydencie czechosłowackim”.

Napięcie w stosunkach Wschód-Zachód zelżało więc, powodując automatycznie zelżenie „zimnej wojny”.

Po rezygnacji Nixona z prezydentury, *détente* było kontynuowane przez jego następcę, prezydenta Geralda Forda. Widowym tego rezultatem było podpisanie 1 sierpnia 1975 r. w Helsinkach, na spotkaniu przywódców 35 państw europejskich oraz USA i Kanady, tzw. Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, który, jak *nigdy* dotąd po II wojnie światowej, stał się podstawą do wzajemnej współpracy Wschód-Zachód, a faktycznie w *euroatlantyckim* regionie, dokumentem o **decydującym** znaczeniu dla dalszego przebiegu „zimnej wojny”.

Wydarzenie to zamknęło jej trzeci etap i otworzyło następny - czwarty.

5. Etap IV (1976-1983).

Koniec IV etapu „zimnej wojny” powinien właściwie przypaść na luty 1984 r., miesiąc śmierci Andropowa, ale dla zaokrąglenia dat należy pozostać przy 1983 r.

Etap, przedostatni w „zimnej wojnie”, był momentami bardzo **groźny** dla pokoju światowego.

Przyczyną tego było **naruszenie** wspomnianych powyżej „reguł gry” pomiędzy obu supermocarstwami, obejmujących szereg aspektów o charakterze ściśle strategiczno-operacyjnym.

Jednym z nich był ok. 32-minutowy czas lotu głowic rakiet międzykontynentalnych „ziemia-ziemia” z ZSRR do USA i odwrotnie. Dzięki satelitom

obserwacyjnym na orbicie okołoziemskiej, odpalenie rakiety, wraz z ustaleniem kierunku jej lotu, można było wykryć już po 7-9 minutach. Strona przeciwna zatem, zanim terytorium jej zostałoby rażone niespodziewanym napadem nuklearnym, miała szansę odpalenia swoich rakiet "ziemia-ziemia" w kierunku napastnika.

Dla obu supermocarstw, oddalonych od siebie o tysiące kilometrów, sprawą o **żywotnym** znaczeniu stał się więc ok. 25-minutowy "krytyczny margines czasu", konieczny do odwetowego uderzenia, wymagającego ok. 10-15 minut.

Margines ten, prawdę mówiąc, był przesadą, gdyż w przypadku rakiet "woda-ziemia", odpalanych z nuklearnych łodzi podwodnych u wybrzeży przeciwnika, czy rakiet "powietrze-ziemia" z samolotów dalekiego zasięgu, znajdujących się w pobliżu jego terytorium, napad skracał się do kilkunastu minut.

Z przyczyn jednak do dziś niejasnych, ZSRR, w drugiej połowie lat 1970-ch, zaczął w szybkim tempie rozmieszczać w swojej europejskiej części 3-głowicowe rakiety pojazdowe średniego zasięgu RSD-10, na Zachodzie zwane SS-20. Oficjalnie, ZSRR tłumaczył ten krok zamianą przestarzałych rakiet SS-4 oraz SS-5 na nowsze SS-20, o promieniu rażenia do 5,5 tys. kilometrów, z siłą wybuchową głowicy prawie 20-krotnie większą od "bomby hiroszimskiej".

SS-20 wywołały popłoch w Europie Zachodniej, w RFN w szczególności. Zaczęto bowiem podejrzewać ZSRR, że poddając Europę Zachodnią wzmoczonemu "terrorowi nuklearnemu", zamierzał odciąć ją od USA, niszczyć przy okazji NATO, albo przygotowywał nuklearne wsparcie dla konwencjonalnego napadu na jej terytorium. Niepokój Zachodniej Europy, RFN zwłaszcza, pogłębiały też istniejące od lat podejrzenia, że USA, po tym jak sowieckie rakiety międzykontynentalne zagroziły bezpośrednio ich terytorium, mogłyby *nie przyjąć* z pomocą w przypadku agresji wojsk Układu Warszawskiego. Obawy RFN wynikały także stąd, że poza amerykańskim "parasolem nuklearnym" na żaden inny nie mogła liczyć. Francja i Anglia bowiem miały siły nuklearne do obrony jedynie własnego terytorium.

Wobec zaistniałej sytuacji, jedynie amerykański "parasol" miał bronić pozostałe kraje Europy Zachodniej przed agresją Układu Warszawskiego.

USA tymczasem nie ukrywały, że obowiązek tej obrony zaczął stawać się dla nich uciążliwy. Twierdziły, że mając potencjał gospodarczy równy europejskim krajom NATO, ponosiły 2/3 jego wydatków obronnych, wydając rocznie na obronę tylko swoich sojuszników 100-120 mld. dolarów więcej, niż gdyby wydawały jedynie na własną obronę. Wypominały im również,

że do *détente* z krajami Układu Warszawskiego przywiązywały zbyt dużą wagę, zwłaszcza w dziedzinie zacieśniania z nimi współpracy gospodarczej i ciągnąc stąd dla siebie korzyści, wykazują jednocześnie niechęć do zwiększania własnego wysiłku obronnego.

Od początku lat 1970-ch, co więcej, USA zastanawiały się jak wyjść z tej kłopotliwej sytuacji. Zwinięcie "nuklearnego parasola" nad Europą Zachodnią nie wchodziło w grę. Pomysł zaś utworzenia na jej terytorium "wielostronnych sił nuklearnych" okazał się *niemożliwy* do zrealizowania ze względów zarówno wojskowych, jak i politycznych. Tylko w odniesieniu do RFN, o czym już wspomniano w innym miejscu, znaleziono połowiczne wyjście.

Komplikacje na tym odcinku pogłębiał wreszcie fakt, że francusko-angielskie siły nuklearne, stanowiące nie więcej niż 1/50 sowieckich, operacyjnie ponadto ograniczone do obrony jedynie własnego terytorium, nie rokowały szybkiego wzrostu.

Wyjściem dla USA z tej kłopotliwej sytuacji stały się więc dwa możliwe rozwiązania.

Pierwszym było zmuszenie europejskich sojuszników do *zwiększenia* wysiłków na odcinku zbrojeń konwencjonalnych, żeby w razie sowieckiej agresji USA nie musiały sięgać natychmiast do broni nuklearnej dla ich obrony. Wypowiedzi Zbigniewa Brzezińskiego, wówczas doradcy prezydenta Cartera, dawały to wyraźnie do zrozumienia, co wywołało popłoch w NATO, RFN przede wszystkim. Jeszcze wikszy popłoch, znów w RFN głównie, wywołała nagła decyzja prezydenta Cartera nie rozmieszczania w Europie Zachodniej amerykańskiej broni neutronowej (w postaci pocisków artyleryjskich), która mogła być wysoce skuteczna w przypadku agresji wojsk Układu Warszawskiego. Nowa broń, zabijająca głównie promieniowaniem, spotkała się jednak z niechęcią, a nawet protestami u europejskich sojuszników NATO, upatrujących w niej niebezpieczne "*obniżenie poprzeczki*" w sięganiu przez USA do broni nuklearnej na wypadek działań wojennych (lewica zaś broń neutronową nazwała "*bronią kapitalistyczną*", która zabija ludzi pracy, chroniąc wielką własność).

W sumie jednak, USA udało się w znacznym stopniu, aczkolwiek nie bez oporów, zrealizować swój cel i to w czasie, kiedy ich europejscy sojusznicy, w rezultacie kolejnych faz "kryzysu energetycznego", borykali się z olbrzymimi trudnościami ekonomicznymi. Na waszyngtońskim szczycie NATO z końca maja 1978 r., postanowili mimo wszystko zwiększać swoje wydatki obronne o co najmniej 3 procent rocznie.

Drugim rozwiązaniem było *rozmieszczenie* w europejskiej części NATO, poza taktyczną bronią nuklearną, której było tam wbród, także operacyjnie-

strategiczną, w tym neutronową.

Europejscy sojusznicy *nie byli* jednak zachwyceni tymi pomysłami USA, upatrując w nich "obniżenie poprzeczki" dla wojny nuklearnej, której za wszelką cenę chcieli uniknąć, szukając nawet zbliżenia z krajami Układu Warszawskiego.

USA, widząc ten opór, zwłaszcza RFN, zrezygnowały więc z prób rozmieszczania w Europie Zachodniej broni neutronowej, ale **nie** operacyjno-strategicznej. Nie chciały być zmuszone, na wypadek odpięcia wymierzonej przeciwko niej agresji, wystawiać własne terytorium na sowieckie ciosy nuklearne. Niech konfrontacja - rozumowały - ogranicza się *jak najdłużej* do europejskiego teatru wojennego

ZSRR, zamiary USA widział jednak inaczej, podejrzewając je o próbę wyjścia z "nuklearnego impasu" drogą *ograniczonej wojny* nuklearnej w Europie, która objęłaby również jego europejską część. Podejrzenia swoje uzasadniał *skalą* nasycenia europejskiej części NATO amerykańską bronią nuklearną, liczącą wówczas już ponad 7 tys. różnorodnych ładunków. USA, wywierając naciski na swoich europejskich sojuszników w NATO, żeby na ich terytorium rozlokować dalsze 1,5 tys. rakiet średniego oraz krótszego zasięgu, tzw. *eurorakiet*, zdolnych sięgnąć daleko poza Bug, podejrzania te tylko wzmagaly.

W rezultacie tej wysoce złożonej sytuacji, pogłębionej wspomnianym już rozmieszczeniem SS-20, doszło raptem do *niespotykanego* od lat napięcia w stosunkach Wschód-Zachód, głównie pomiędzy ZSRR i USA. Sprawę zaczął komplikować dodatkowo *opór* niektórych europejskich członków NATO przed masowym rozmieszczeniem na ich terytorium amerykańskich rakiet. Zgadzała się tylko na 200, ale nie 1.500, nie chcąc stać się powodem do dalszego wzrostu napięcia międzynarodowego.

ZSRR ze swej strony, chcąc wykorzystać spory wewnątrz NATO dla własnych celów, postanowił je pogłębić *nieustannym* rozmieszczeniem SS-20, chcąc tymi poczynaniami wbić klin pomiędzy amerykańskich i europejskich sojuszników. Ciagle bowiem łudził się nadzieją, że w ten sposób, jeśli już nie rozbije NATO bez wojny, to przynajmniej je "odamerykanizuje".

Napiętą sytuację skomplikowało następnie wystąpienie zachodnio-niemieckiego kanclerza Helmuta Schmidta, czołowego reprezentanta kraju *najbardziej* wystawionego na próbę. "Ograniczona wojna" w Europie ściągnęłaby na RFN największe ciosy i stąd Schmidt podniósł alarm, dość jednak wieloznaczny w swojej wymowie.

Z jednej strony żądał od USA rozmieszczenia w europejskich krajach NATO *eurorakiet*, ale z drugiej wiązał to żądanie z warunkiem rozpoczęcia

przedtem rozmów z ZSRR w celu całkowitego **wyeliminowania** tej klasy broni z arsenałów obu supermocarstw. W przypadku zgody USA na ten warunek, europejscy członkowie NATO ze swej strony gotowi byli zgodzić się na rozmieszczenie nie 200 czy 1.500 amerykańskich *eurorakiet*, ale 572, kompromisowej ilości pomiędzy skrajnymi stanowiskami.

USA zgodziły się z propozycją i decyzją NATO z 12 grudnia 1979 r. postanowiono w RFN, Anglii, Włoszech oraz krajach Beneluxu (potem tylko w Holandii) rozmieścić 572 "eurorakiety". W RFN 108 Pershingów II, podczas gdy pozostałe 464, rakiety skrzydlate Cruise, w innych z wymienionych krajów.

Szczególnie groźne były Pershingi II, które w ciągu 7-8 minut mogły dolecieć do Moskwy, faktycznie *pozbawiając* ją "krytycznych 25 minut".

Zapalną sytuację zwiokrotniła następnie sowiecka agresja zbrojna w Afganistanie, która pociągnęła za sobą gwałtowne pogorszenie się w stosunkach amerykańsko-sowieckich.

W ostatecznym rachunku jednak, *broń nuklearna*, a **nie** inne wydarzenia, stała się, podobnie jak w okresie kryzysu kubańskiego, głównym powodem gwałtownego wzrostu napięcia pomiędzy ZSRR i USA. Sytuację pogarszał dodatkowo fakt, że w USA znów zaczęto mówić o ilości celów na terytorium ZSRR do nuklearnego uderzenia, podnosząc je z ok. 5,5 tysięcy do 25 tysięcy, a nawet 40 tysięcy. Przy ilości tylko ok. 15 tysięcy posiadanych ładunków strategicznych, mogło to sugerować, że USA zechcą szybko ją zwiększyć, rozpoczynając tym samym *nową* rundę morderczego wyścigu zbrojeń.

Czy USA i ZSRR istotnie gotowały się do wojny nuklearnej? Oznak tego, widocznych gołym okiem, nie było. Nie jest jednak wykluczone, że obie strony takie zamiary miały, choć zapewne **żadna** z nich nie miała ani odwagi ani ochoty na jej rozpoczęcie. Jakieś "gry strategiczne" w tej dziedzinie operacji sił konwencjonalnych były, po obu stronach, ale poważnych zamiarów wszczęcia wojny tymi siłami akurat **nikt** nie miał, o ile dziś wiadomo. Siły konwencjonalne Układu Warszawskiego oraz NATO były *niedostateczne* jak na wymogi pomyślnego ataku, a ponadto groźba spowodowania nuklearnej riposty obu supermocarstw, z USA oficjalnie rezerwującymi sobie do tego prawo, miała perspektywę przerośnięcia w III wojnę światową, która **musiałaby** natychmiast, lub wkrótce po jej wybuchu, stać się wojną nuklearną.

Ewentualność wybuchu III wojny światowej w tym okresie zresztą, do dziś nosi zagadkowy charakter i **nie wiadomo** jak z nią naprawdę było.

Powracając jednak do amerykańskich *eurorakiet*, zgodnie z warunkami postawionymi przez RFN, natychmiastowe ich rozmieszczenie **nie było** moż-

liwe i mogło nastąpić dopiero w wyniku niepomyślnych negocjacji pomiędzy USA i ZSRR.

Negocjacje rozpoczęły się 23 września 1981 r., jeszcze za rządów Breżniewa, ale po jego śmierci, za rządów Jurija Andropowa, ZSRR raptem zerwał je 23 listopada 1983 r., uważając je za drogę do nikąd. Na ile było to prawdą, jest trudne do ustalenia nawet po latach.

Fiasko negocjacji doprowadziło w rezultacie do operacyjnej gotowości pierwszych amerykańskich euroraket w RFN oraz Anglii w styczniu 1984 r.

Jaki byłby koniec tych posunięć NATO, obok "kryzysu kubańskiego" **najgroźniejszych** w okresie "zimnej wojny", gdyby Andropow nie zmarł 9 lutego 1984 r., pozostaje sprawą jedynie domysłów. W liście swoim do Reagana z 28 stycznia 1984 r. bowiem, na wieść o wspomnianym rozmieszczeniu przez USA pierwszych euroraket, Andropow *groził* mu po prostu wojną.

Tło tego niebezpiecznego w skutkach napięcia jest jednak bardziej złożone.

Jeszcze w końcowej fazie prezydentury Cartera, USA, w świetle sowieckiej agresji w Afganistanie oraz napięcia wokół euroraket, nie mówiąc już o "impasie nuklearnym", postanowiły *zwiększyć* swoje zbrojenia. W tym też kierunku, bardziej od swojego poprzednika, poszedł nowowybrany w listopadzie 1980 r. prezydent Ronald Reagan, zapowiadając *odejście* od "parytetu strategicznego" z ZSRR i przejście do **przewagi** nad nim. Dla realizacji tego celu zapowiedział wydatkowanie w latach 1981-1985 sumy prawie 1,1 bilionów ówczesnych dolarów, plus ponad 300 miliardów dolarów w następnych trzech latach (w dzisiejszych dolarach byłyby to sumy prawie 2-krotnie większe). Szczególnie miały być rozbudowane siły strategiczne USA, czyli nuklearne.

Wszystkie te kroki wiązały się, według niektórych doniesień prasowych, z wydaniem przez Reagana *tajnej dyrektywy* w październiku 1981 r. (dzień i numer dyrektywy nie są publicznie znane do dnia dzisiejszego), która **nie tylko** przewidywała możliwość wojny nuklearnej, ale prowadzenie jej aż do *zwycięskiego* dla USA końca. (x)

Reagan, rzecz nie mniej ważna, tym razem publicznie, 23 marca 1983 r. zapowiedział podjęcie prac nad *antyrakietową* obroną USA, w angielskim skrócie SDI, którą ochrzczono "wojną gwiazdą".

x) w I półroczu 1982 r. (dokładne daty są nieznane oficjalnie) dyrektywa znalazła też echo w NSDD; „dyrektywa decyzyjnej” Rady Bezpieczeństwa Narodowego, oraz **Defense Guidance** (Dyrektywa Obronnej) Sekretarz Obrony (szefa Pentagonu).

Zapowiedź takiej obrony niedwuznacznie oznaczała praktyczne **zerwanie** przez USA porozumienia ABM.

ZSRR, prawdę mówiąc, krok ten mógł potraktować jako *casus belli* i nie wykluczone, że rozważał **wyprzedzające** uderzenie strategiczne, które nieuchronnie skończyłoby się III wojną światową.

Ze względów do dziś niejasnych, tego jednak nie uczynił. Możliwe, iż wychodził z założenia, że wysiłki zbrojeniowe USA mogły dać znaczące efekty dopiero po latach, podczas gdy "wojnę gwiazdą" uznał za fantazję (nawet dziś, po ponad 16-tu latach od jej objawienia, ma ona nadal **niepewną** przyszłość),.

Wtedy też obie strony zdecydowały się prawdopodobnie znaleźć jakies rozwiązanie dla stwarzanych-nieprzerwanie przez samych siebie dylematów.

Iść na konfrontację zbrojną, w której nie byłoby zwycięzców, wyraźnie nie chciały.

Nie pozostawało im więc nic innego niż szukać jakiegoś **nowego modus vivendi** w "nuklearnym świecie".

6. Etap V (1984-1991).

Precyzyjne ustalenie początku oraz końca tego etapu, który stał się też końcem "zimnej wojny", nie jest prostym zadaniem. Za jego początek należy uznać śmierć Andropowa, ale co się tyczy końca, to sprawa jest bardziej złożona. Najczęściej, za koniec "zimnej wojny" uważa się upadek "muru berlińskiego", przemiany w Europie Środkowej i Wschodniej, ustanowienie partnerskich stosunków amerykańsko-sowieckich i wreszcie rozpad ZSRR.

Koniec "zimnej wojny" zaczął się najpierw majaczyć na horyzoncie w związku z rozwojem sytuacji na *euroraketowym* odcinku. Bez radykalnej zmiany w tej dziedzinie, wszystkie inne wydarzenia, którym przypisuje się zakończenie "zimnej wojny", najprawdopodobniej **nigdy** nie miałyby miejsca. Gorbaczowowska "pierestrojka", która je uruchomiła, swoimi korzeniami sięga *spraw nuklearnych*. Jak to niedwuznacznie dał do zrozumienia, pisząc w wydanej w 1991 r. książce pt. "Buduszcze prinadłżit swabodie", "Przyszłość należy do wolności", Eduard Szewardnadze, b. członek Biura Politycznego KPZR oraz b. minister spraw zagranicznych ZSRR, że "impas nuklearny" zakończyłyby się **najprawdopodobniej** III wojną światową. Sowieckie nowe kierownictwo - jak pisze - chciało jednak wojny uniknąć, zdając sobie sprawę z jej samobójczego charakteru..

W konsekwencji tego, "impas nuklearny", z którego wyjścia za rządów Andropowa nie widziano, zaczął **niespodziewanie** zmieniać się w kierunku

odchodzenia od wizji nieuchronnego konfliktu. Konstantin Czerniernko, następca Andropowa, zapewne z inicjatywy kół wojskowych, które prawdopodobnie znalazły drogi *obejścia* wytworzonej przez natowskie "eurorakiety" sytuacji albo *zrezygnowały* z myśli o konflikcie nuklearnym - przyjął **odmienną** od poprzednika postawę. USA nie wygrażał, a przeciwnie - zaczął z nimi wznawiać przerwany dialog. W efekcie tego oba supermocarstwa porozumiały się i 23 listopada 1984 r. zgodnie oświadczyły o wznowieniu przerwanych rok wcześniej negocjacji. Wkrótce potem, w dniach 7-8 stycznia 1985 r., szefowie dyplomacji obu supermocarstw, George Shultz i Andriej Gromyko, formalnie je wznowili.

Pomyślny koniec owych negocjacji nie był bynajmniej pewny, gdyż stosunki Wschód-Zachód w tym czasie, po latach ich poprawy, były napięte, obejmując dziedziny nie tylko wojskowe. Poprawa tych stosunków wymagała zatem **nowego** podejścia, do czego schorowany Czerniernko zupełnie się nie nadawał.

Po jego śmierci 10 marca 1985 r. jednakże, władzę w ZSRR objął Michaił Gorbaczow, zapoczątkowując już wkrótce "pierestrojkę", która zaowocowała dramatycznymi wydarzeniami we "wspólnocie socjalistycznej", kończąc przy okazji *dotychczasowy* kształt "nuklearnego impasu" (ale nie impas, który nadal trwa).

USA, ze swej strony, wyszły naprzeciw "pierestrojkowym" przemianom, w wyniku czego zaczęły powstawać sprzyjające warunki dla odprężenia we wzajemnych stosunkach pomiędzy obu supermocarstwami.

Wznowione po ponad 6-letniej przerwie spotkania na szczycie, poczynając od genewskiego Reagan-Gorbaczow w listopadzie 1985 r., które uznało porozumienie w sprawie *eurorakiet* za konieczne, zapoczątkowały serię kolejnych i niezwykle ważnych wydarzeń.

Następny szczyt, w Reykjaviku w październiku 1986 r., nie przyniósł, co prawda, żadnego postępu w dziedzinie nuklearno-rakietowej, ale wysiłków na rzecz osiągnięcia wzajemnego porozumienia w tej sprawie nie przerwano, co w końcu dało *pozytywny* efekt. Zawarte bowiem porozumienie 8 grudnia 1987 r. w Waszyngtonie, w czasie szczytu Reagan-Gorbaczow, w angielskim skrócie zwane INF, wyeliminowało z arsenału obu supermocarstw rakiety średniego i krótszego zasięgu, *eurorakiety*, zdolne razić cele w promieniu 500-5.500 kilometrów.

Porozumienie INF było **pierwszym** widomym od lat krokiem kończącym "zimną wojnę". Tym bardziej, że w trakcie 3-dniowego szczytu Reagan-Gorbaczow uzgodniono wstępnie, po raz **pierwszy** w historii powojennych stosunków pomiędzy obu supermocarstwami, 30-procentową *redukcję* we

wzajemnych arsenalach strategicznych, co istotnie znalazło potem wyraz w porozumieniu START I, zawartym 31 lipca 1991 r., w czasie moskiewskiego szczytu Bush-Gorbaczow.

Powyższe wydarzenia zasługują na szczególną uwagę jeszcze z innego powodu. Bohaterem ich, obok Gorbaczowa, był bowiem Reagan, ten sam, który "imperium zła" wypowiedział niemal wojnę, wyrzucając go na "śmietnik historii", a nade wszystko, podejmując niebezpieczny w skutkach gigantycznych rozmiarów program zbrojeń, nie mówiąc już o wspomnianej tajnej dyrektywie, przybliżył ludzkość do III wojny światowej *bardziej* niż ktokolwiek przed nim. W międzyczasie jednak, Reagan przeszedł ewolucję w swoich poglądach, chcąc nawet nierealnie szybko *wyeliminować* broń nuklearną ze światowego arsenału (potem żałował także swoich niepochlebnych aluzji pod adresem ZSRR).

Odmieniony Reagan, a po nim nie mniej odmieniony nowy prezydent George Bush, jak też niezwykle popularny na Zachodzie "Gorby", przywódcy dwóch supermocarstw, stali się, rzecz dawniej niewyobrażalna, czynnikiem **sprzyjającym** w szybko postępującym odprężeniu w stosunkach Wschód-Zachód, co automatycznie podcinało rację bytu "zimnej wojnie".

W tej nowej atmosferze, po pierwszym konkretnym kroku, którym było porozumienie INF, przyszła seria następnych, zarówno natury wojskowej, jak też politycznej.

Szczegółowe wyliczanie tych wszystkich kroków zabrałoby zbyt wiele miejsca, dlatego tylko tym najważniejszym, głównie **wojskowej** natury, należy udzielić uwagi. Z inicjatywą wychodził ZSRR, podczas gdy USA, wraz z pozostałymi krajami NATO, podchwytywały ją w tym czy innym stopniu i proces wojskowego odprężenia toczył się szybko, przy akompaniamencie dramatycznych wydarzeń politycznych.

Drugim krokiem "wojskowego odprężenia", po *pierwszym*, którym było porozumienie INF, było obwieszczenie 7 grudnia 1988 r. przez Gorbaczowa na forum ONZ *jednoastronnej* redukcji sowieckich konwencjonalnych sił zbrojnych w Europie (500 tysięcy żołnierzy i oficerów oraz 10 tysięcy czołgów, co w efekcie spowodowało przełom w tzw. wiedeńskich negocjacjach, trwających od 1973 r., z udziałem najpierw 19-tu państw NATO i Układu Warszawskiego, potem 23-ch, na temat "rozrzedzenia" sił konwencjonalnych w Europie).

Trzecim był właśnie przełom w "negocjacjach 23", dokonany 19 stycznia 1989 r., który doprowadził do podpisania w Paryżu, w dniu 19 listopada 1990 r., odpowiedniego porozumienia, zwanego w angielskim skrócie CFE, o dopuszczalnych "pułapach narodowych" sił konwencjonalnych, na znacz-

nie zredukowanym w stosunku do poprzedniego poziomu. Porozumienie, rzecz najważniejsza, faktycznie **wykluczało** możliwość wybuchu w Europie wojny konwencjonalnej na wielką skalę.

Czwartym krokiem natury wojskowej, a zarazem politycznej, mającym olbrzymi wpływ na odprężenie międzynarodowe, było ostateczne wycofanie się ZSRR, 15 lutego 1989 r., z wojny w Afganistanie.

Piątym było rozwiązanie 25 lutego 1991 r. tzw. struktury wojskowej Układu Warszawskiego, a 1 lipca już samego Układu.

Szóstym było wspomniane już podpisanie porozumienia START I pomiędzy USA i ZSRR.

Siódmym i ostatnim krokiem natury wojskowej, jak również politycznej, było nawiązanie bezpośrednich kontaktów NATO-Układ Warszawski.

“Oczyszczenie przedpoła wojskowego” - uczyniło **możliwą** normalizację wszechstronnych stosunków Wschód-Zachód, a tym samym **likwidację** “zimnej wojny”.

Dlaczego ZSRR, gdyż on **pierwszy** wkrótce po śmierci Andropowa rozpoczął próby wyjścia z “nuklearnego impasu”, zdecydował się na wymienione powyżej kroki natury wojskowej?

Z tego co pisał na ten temat cytowany powyżej Szewardnadze, można wnioskować, iż kierownictwo sowieckie szczerze chciało uniknąć wojny nuklearnej, ale jest też wysoce prawdopodobne, że były jeszcze jakieś inne cele. Dziś już wiadomo z oficjalnych rosyjskich źródeł, że Gorbaczow, powszechnie uważany za grabarza ZSRR oraz “zimnej wojny”, wcale nim **nie był** w rzeczywistości. Wkrótce po objęciu władzy bowiem, 29 czerwca 1985 r., przeprowadził na posiedzeniu Biura Politycznego KC KPZR uchwałę o podjęciu “środków zaradczych” w celu **przeciwstawienia się** amerykańskiemu neoglobalizmowi”. Środki te miały oznaczać **utrzymanie** sił zbrojnych na “odpowiednim poziomie”, do których możnaby sięgnąć w “w razie potrzeby”.

Gorbaczow następnie, po nieudanym szczycie z Reaganem w Reykjavíku, przeprowadził w Biurze Politycznym 14 października 1986 r. drugą i **bardziej** złowieszczą uchwałę, dotyczącą podjęcia kroków charakteru “strategicznego oszustwa”, (*strategическаво обмана*), usypiającego czujność przeciwnika drogą dokonywania **pozorowanych** ruchów w dziedzinie nuklearnego rozbrojenia.

Zakładając nawet, że tak źle nie było i ZSRR w najlepszych intencjach podejmował inicjatywy wyjścia z “nuklearnego impasu”, to i w takim przypadku ich przyczyn należy szukać w jakichś bliżej nieznanych decyzjach **wojskowej** natury. Decyzje te uruchomiły następnie znane wydarzenia we “wspólnocie socjalistycznej”, które widocznie uznano za *niezbędne* dla pod-

budowy “obmana”.

U podłoża *domniemanych* decyzji natury wojskowej, gdyż **nic** konkretnego na ten temat nie wiadomo, leżało najprawdopodobniej *nowe* spojrzenie na wojnę w dobie nuklearnej. Z wywodów jednego z wybitnych sowieckich strategów, a dziś rosyjskich, gen. Mogamedy Gariejewa, można wywnioskować, że nowa wojna, w domyśle nuklearna, nie będzie mieć frontów, wielkich bitew lądowych, powietrznych i morskich, a ponadto **nie musi** być absolutnie samobójcza.

W ZSRR zaczęto też mówić coraz częściej, po tym jak już od lat mówiono o tym w USA, o “*rozsądnej dostateczności*” w dziedzinie rozmiarów arsenału wojennego, przede wszystkim nuklearnego. Minister obrony ZSRR, generał armii Dimitrij Jazow, pisał w “Prawdzie” z 27 lipca 1987 r., że “*rozsądna dostateczność*” **nie oznacza** niemożności, nawet przy zredukowanym arsenale wojennym, wykonania odwetowego uderzenia “w *każdych warunkach*” i zadania agresorowi “*niemożliwych dla niego do zaakceptowania strat*”.

Pogląd ten, rzecz godna uwagi, Jazow wyraził na ponad cztery miesiące *przed* podpisaniem porozumienia INF.

ZSRR, niszcząc w jego wyniku 899 swoich “eurorakiet” (jeśli tylko naprawdę to uczynił), w tym 624 potężnych SS-20, dokonywał, wydawało się, olbrzymiej redukcji w swoim arsenale nuklearnym. W rzeczywistości jednak, *eurorakiety* stanowiły tylko ok. 2 procent jego arsenału nuklearnego.

Możliwe też, że ZSRR nie obawiał się, że nagłe uderzenie natowskich *eurorakiet* w Moskwę sparaliżuje jego system dowodzenia, sprowadzając na kraj klęskę. Jak to Rosja częściowo dziś ujawnia, niespodziewany atak uruchomiłby *automatyczny* system odwetu nuklearnego, który agresora obróciłby w popiół, nawet w sytuacji zniszczenia centralnego systemu dowodzenia (jego lokalizacja nie jest znana, a ponadto jest ich podobno więcej niż jeden).

Neoficjalnie, co więcej, gdyż oficjalnie do niczego nie przyznano się do dnia dzisiejszego, w ZSRR **zainstalowano** obronę antyrakietową, którą po jego rozpadzie, rozwijała nadal Rosja. Obrona, z dwoma podsystemami, na Zachodzie zwanymi “Gazelle” i “Gordon”, liczącymi ok. 3,5 tys. zamaskowanych rakiet “ziemia-powietrze”, jest operacyjnie gotowa do niszczenia atakujących głowic przeciwnika. Niszczenie polega na eksplozji nuklearnej głowic “antyrakiet” w atmosferze. Tego rodzaju metoda niszczenia celów, rozpatrywana ongiś przez USA, została odrzucona jako zbyt groźna dla własnej ludności, znajdującej się poniżej eksplozji w atmosferze (głowice tych “antyrakiet” mają podobno moc wybuchową 10 kiloton, ekwiwalent 10 tys. ton trotylu). W Rosji jednakże, o gęstości zaludnienia o wiele mniejszej niż w

USA, zwłaszcza w jej północnej części, nad którą nadlatywałyby amerykańskie głowice nuklearne, ryzyko dla ludności cywilnej jest mniejsze. Zniszczenie ponadto atakującej głowicy zanim dotrze do celów bardziej zaludnionych, jest i tak opłacalne, nawet przy jakichś stratach własnych, niż nie posiadanie żadnej obrony antyrakietowej.

Jeśli to jest prawdą, to Rosja jest **lepiej** od USA przygotowana do wojny nuklearnej, dzięki wysiłkom w tym kierunku b. ZSRR, który okres "zimnej wojny" *wykorzystał* potajemnie, gdyż porozumienie ABM tego zakazuje, dla stworzenia obrony antyrakietowej.

Koszty "zimnej wojny" wreszcie, w samych tylko USA, licząc w obecnych cenach, wyniosły ok. **8 bilionów** dolarów, co najmniej *5-krotnie* przewyższając poniesione przez nie koszty w czasie II wojny światowej.

Licząc koszty poniesione przez ZSRR oraz inne kraje, "zimna wojna" pochłonęła sumy astronomiczne. Gdyby ludzkość przeznaczyła je na inne cele, to z pewnością jej byłoby lepszy od obecnego.

Rozdział III:

Zbrojny świat

1. Nie dokończona "zimna wojna".

Narodziny "zimnej wojny" odbywały się na raty i również na raty zaczął następować jej koniec, nie mówiąc już o tym czy nastąpił on kiedykolwiek.

Z dwóch najczęściej wymienianych dat końca "zimnej wojny" - przypominając to jeszcze raz - jako pierwszą wymienia się upadek "muru berlińskiego" w nocy z 9 na 10 listopada 1989 r., podczas gdy drugą, trwający już otwarcie od 8 grudnia 1991 r. rozpad ZSRR, którego punkt kulminacyjny przypadł na wieczór 25 grudnia tegoż roku.

Koniec "zimnej wojny", czy to z listopada 1989 r. czy grudnia 1991 r., był tylko "politycznym końcem", gdyż z wojskowym, nie mniej ważnym, sprawa jest bardziej skomplikowana.

Układ Warszawski mianowicie, całymi latami uważany za przeciwwagę NATO, co prawda rozpadł się w 3-ch ratach, w "strukturze wojskowej" 25 lutego 1991 r., w "politycznej" 1 lipca, a już na dobre 23 grudnia 1992 r., kiedy to ostatni jego kraj członkowski, Rosja, ratyfikował odpowiednią decyzję, ale ten epizod był już bez większego znaczenia. Koniec Układu Warszawskiego bowiem, był co najwyżej *symbolicznym* dowodem na to, że skończyła się "zimna wojna", przynajmniej po jednej stronie jej dwóch uczestników (drugim było NATO). Symbolicznym dlatego, że sam Układ Warszawski był *symboliczną* organizacją, bez *żadnego* praktycznego znaczenia (najlepszym dowodem na to był *brak* w nim sowieckiego kontyngentu wojskowego).

Armia i Flota Radziecka natomiast, jak oficjalnie nazywały się siły zbrojne ZSRR, faktycznie *jedyny* przeciwnik NATO, pozostała *nietknięta* po jego rozpadzie, zmieniając tylko nazwę 30 grudnia 1991 r. na Zjednoczone Siły Zbrojne Wspólnoty Niepodległych Państw, na czele których stanął dotych-